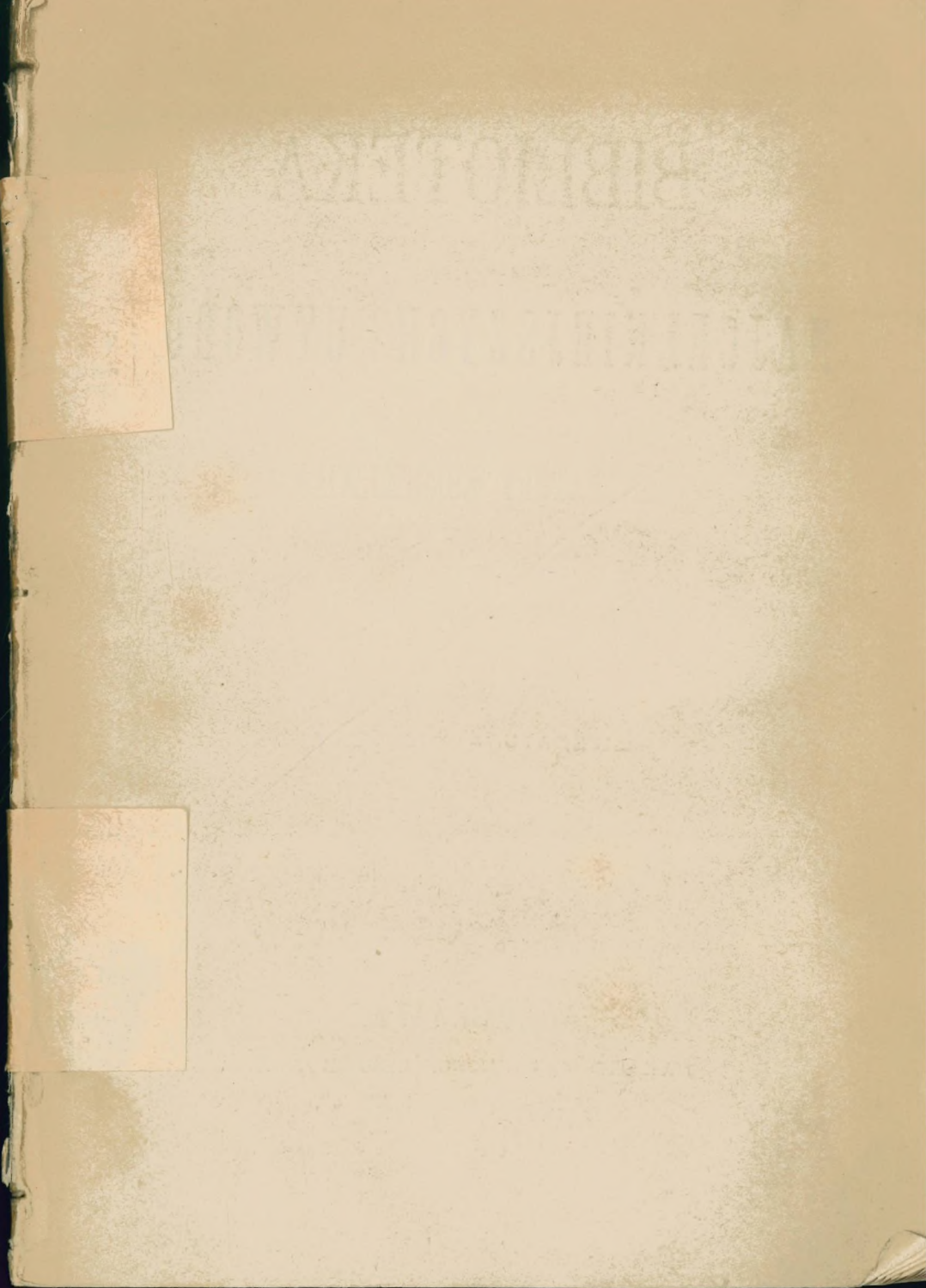




BIBLIOTEKA

NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW

LITERATURY EUROPEJSKIEJ.

LITERATURA NIEMIECKA.

WARSZAWA.

NAKŁAD I DRUK S. LEWENTAŁA.

(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów”.)

1877.

Monte ben 1874
JAN WOLFGANG GOETHE.

lok. 27 675 n *29 11.15* *29 103 n*
27 677 *29 103 n*
GÖTZ VON BERLICHINGEN

ŻELAZNOREKI.

DRAMAT GOETHE'GO;

PRZEŁOŻYŁ

Fr. Henryk Lewestam.

Janamijska

WARSZAWA.

NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

1877.

300005



66.116

Дозволено Цензурою.

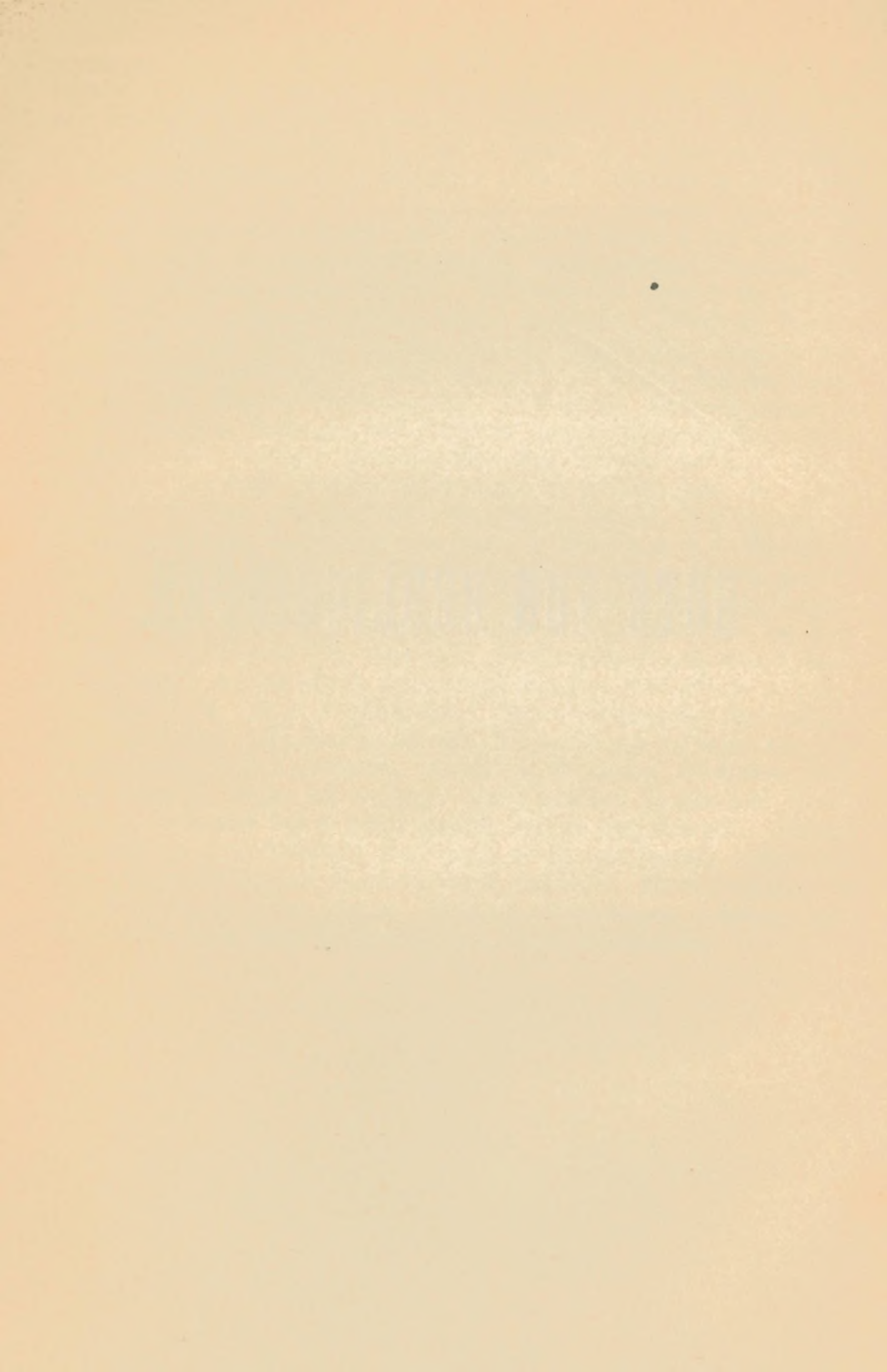
Варшава, 9 Декабря 1876 года.

Wydrukowano z książki
biblioteki Bibli. Jagielloń.

Jan Wolfgang Goethe, największy poeta niemiecki, jeden z najwielostronniejszych geniuszów nowożytniej literatury, urodził się r. 1749 w Frankfurcie nad Menem, w domu zamożnych rodziców, którzy wychowaniem nader starannem i umiejętnem szczęśliwie rozwijali olbrzymie dary, w jakie go najszczodrobliwiej uposażyła natura. Nauki wyższe, kolejno filozoficzne i prawne, odbył najprzód w uniwersytecie lipskim, później w strasburskim; zarazem jednak zawczasu odezwała się w nim twórczość fantazyi, zwłaszcza w poezjach lirycznych i na polu komedyi („Die Mitschuldigen“, *Wspólnicy*, i „Die Laune des Verliebten“, *Kaprys zakochanego*). W Strasburgu, gdzie w bliższą wszedł zażyłość z Herderem, uległ przodującemu podówczas w młodocianej literaturze niemieckiej kierunkowi sił wulkanicznych, znanemu w historii tej literatury pod nazwą: *Okresu burzy i prądu* (Sturm- und Drangperiode); tylko że w samoistnej potędze nie ukazał się tu naśladowcą, lecz swojemi na tém tle utworami dał raczej początek nowym i obfitym w następstwa rodzajom poetyckiej twórczości. Do takich przedewszystkiém zaliczyć należy napisaną przezeń w dwudziestym czwartym roku życia tragedję romantyczną, p. t.: „Götz von Berlichingen“, zaczerpniętą z dziejów szesnastego stulecia, najznakomitszy dramat narodowy i zarazem ludowy, jakim poszczycić się może epoka nowożytna. Niemniejszego rozgłosu i wpływu dostąpiła o dwa lata późniejsza powieść: „Die Leiden des jungen Werther“, *Cierpienia młodego Werthera*, oraz jednoczesne niemal dramata „Clavigo“ i „Stella“. Wszystkie te pisma zwróciły na młodego poetę uwagę księcia Wejmarskiego, Karola Augusta, który przejeżdżając przez Frankfurt, gdzie Goethe po powrocie z Strasburga zamieszkał, poznał go osobiście i zaprosił do siebie. Wejmar jaśniał już wówczas jako rezydencya najpierwszych koryfeuszów literatury, a obecność Goethe'go z każdym jeszcze rokiem rozszerzała to grono. Oprócz niego, dosyć będzie tu wspomnieć imiona: Schillera, Herdera, Wielanda, Musäusa, Knebla, Voigta, Einsiedla i innych, żeby zyskać pojęcie o życiu umysłowem, jakie zawrzało w tej stolicy małego kraiku. W zawodzie urzędowym, który Goethe w Wejmarze rozpoczął, w krótkim czasie naj-

wyższych dostąpił szczytów. W 1776 r. został mianowany radcą legacyi, w 1779 rzeczywistym tajnym radcą, w trzy lata później prezesem kamery, a w 1815 pierwszym ministrem stanu. Ale bardziej jeszcze, niż stosunek ten oficjalny, wiązała go z księciem przyjaźń stateczna, prawdziwa: — z nim też w 1786 r. odbywał podróż dwuletnią do Włoch, a w 1792 r. towarzyszył mu w kampanii francuskiej. W ogóle rzadko kiedy danem było wielkiemu poecie w tak sprzyjających zewsząd okolicznościach rozwijać swój geniusz, i zarazem tak upłodniającą wpływać na drugich. W Wejmarze ukazały się kolejno jego dramata: „Ifigenia w Taurydzie“, „Egmont“, „Torquato Tasso“, i pierwsza część „Fausta“ (druga część po śmierci jego dopiero wyszła na widok publiczny). Dalej romanse: „Wilhelm Meisters Lehrjahre“, „Die Wahlverwandschaften“ i „Wilhelm Meisters Wanderjahre“; epopeja „Hermann und Dorothea“, mnóstwo poezyj lirycznych, epigramatów, ballad; autobiografia „Aus meinem Leben — Dichtung und Wahrheit“; różne mistrzowskie przekłady, jako to: „Mahometa“ Woltera, „Pamiętników“ Benvenuto Cellini, najcelniejszych poetów arabskich, indyjskich i perskich, w zbiorze p. t.: „Westöstlicher Divan“, nie mówiąc o niezliczonych pracach, a zawsze genialnych, w przedmiotach estetyki, krytyki, historii sztuk pięknych, archeologii. Jeżeli zaś w ogóle nie było prawie pola poetycznego, na którymby on arcydzieła nie stworzył, równie głęboko zaznaczył ślady swego zajęcia w rozmaitych dziedzinach wiedzy, szczególnie w przyrodoznawstwie. Jego „Farbenlehre“, *Nauka o kolorach*, i *Morfologia*, nie tylko w tych gałęziach nauki stanowią epokę, ale po części zupełny spowodowały w nich przewrót. Umarł w Wejmarze 22 Marca 1832 roku, licząc lat blisko 83 pełnego sławy żywota, do ostatniej chwili którego zachował był w pełni jasność władz umysłowych. Zwłoki jego złożono obok Schillera w grobach wielko-książęcych. — Z trzech jego najznamienitszych dramatycznych utworów, które podajemy tu Czytelnikom, pierwszy i trzeci: *Götz von Berlichingen* i druga część *Fausta*, nie były dotąd drukowane w polskim przekładzie.

GÖTZ VON BERLICHINGEN.



OSOBY:

Cesarz Maksymilian.

Götz von Berlichingen.

Elżbieta, jego żona.

Marya, jego siostra.

Karol, jego syn.

Jerzy, jego pachole.

Biskup Bamberski.

Adalbert von Weislingen } przy dworze biskupim.

Adelheida von Walldorf }

Liebetraut.

Opat Fuldj.

Olearius, doktor obojga prawa.

Braciszek Marcin.

Hans von Selbitz.

Franciszek von Sickingen.

Lerse.

Franciszek, pacholek Weislinga.

Pokojówka Adelheidy.

Metzler, Sievers, Link, Kohl, Wild, przywódcy zbuntowanych
chłopów.

Panie dworskie ; dworzanie na dworze Bamberskim.

Radcy cesarscy.

• Sędziowie tajnego sądu.

Dwaj kupcy Norymbergscy.

Max Stumpf, sługa Falcgrabi.

Nieznajomy.

Ojciec narzeczonej, } Chłopi.

Narzeczonej,

Jeźdźcy Berlichinga, Weislinga i biskupa.

Dowódcy, oficerowie, ciury z armii cesarskiej.

Oberżysta.

Słudzy sądowi.

Mieszczanie z Heilbronn.

Straż miejska.

Dozorca więzienny.

Włościanie.

Dowódzca bandy Cyganów.

Cyganie.

Cyganki.

AKT PIERWSZY.

Schwartzenberg w Frankonii.

OBERŻA.

Metzler i Sievers, przy stole. Dwaj jeźdźcy, przy kominku. Oberżysta.

Sievers. Jeszcze kieliszek, Janku! tylko daj miarę uczciwą!

Oberżysta. Nienasytek z ciebie.

Metzler (po cichu do Sieversa). Powtórz raz jeszcze o Berlichingu! Bambergczycy się złoszczą, aż się mało nie skręca.

Sievers. Bambergczycy? A oni tu po co?

Metzler. Weisling od dwóch już dni gości w zamku u pana hrabiego; oni go przeprowadzali. Nie wiem, zkad przyjechał; czekają na niego, bo wraca do Bamberga.

Sievers. Cóż to za jeden, ten Weisling?

Metzler. Prawa ręka biskupa, potężny pan. Czai się i on także na pana Götza.

Sievers. Niechaj się strzeże!

Metzler (po cichu). Tylko śmiało! (Głośno). Od kiedy to pan Götz popstrzykał się znowu z biskupem bamberskim? Toć gadali, że wszystko już zgodnie skończone.

Sievers. Zgódź-że się kto z temi klechami! Skoro biskup zobaczył, że nie sam nie wskóra i zawsze mu bieda, udał się w pokorę i koniecznie postarał się, żeby przyszło do zgody. Pocziwina Berliching znowu ustąpił, jak robi zawsze, kiedy jest górą.

Metzler. Daj mu Boże zdrowie! Zacny pan!

Sievers. Powiedz-że teraz, czy to nie szelmstwo! Chwytają mu pacholka, gdy on się tego najmniej spodziewa. Ale da on im znów za to dybiku!

Metzler. Zawsze to głupio, że mu się ostatni kawałek nie udał! Musiał się ogromnie nazłościć.

Sievers. Pewnie go dawno nie tak nie gniewało. Trzeba ci wiedzieć, że o wszystkim wiadomo im było jak najdoskonalej: — kiedy biskup wyjedzie z kąpieli, w ilu jeźdźców, któredy; i gdyby nie wydali źli ludzie, sprawiłby mu łaźnię i polectałyby skórę, co się nazywa.

Pierwszy jeździec. Co wy tam pyskujecie o naszym biskupie? Mnie się widzi, że szukacie zaczepki.

Sievers. Pilnujcie swego nosa! Wam nie do naszego stołu.

Drugi jeździec. Kto wam pozwolił gadać z nieuszanowaniem o naszym biskupie?

Sievers. Czy ja się wam potrzebuję tłumaczyć? Patrzajcie barana! (Pierwszy jeździec uderza go w twarz).

Metzler. Zabić psiawiare! (Rzucają się na siebie).

Drugi jeździec. Chodź tu sam, jeśli ci życie niemiłe!

Oberżysta (rozłącza ich). Będziecie wy cicho? Do kroćset djabłów! Wynoście się, jeżeli swędzi was skóra. Wara u mnie z hałasami i bi-jatyką! (Wypycha jeźdźców za drzwi). A wy, osły, czego wy zaczynacie?

Metzler. Jenó, Janku, ty nie wymyślaj, bo możesz oberwać co z reszty. Chodź, bracie, wytłuczem tamtych na dworze.

(Wchodzą dwaj jeźdźcy Berlichinga).

Pierwszy jeździec. Cóż tam znowu?

Sievers. Dzień dobry Pietrze! Jak się masz, Kacper? Zkądże to?

Drugi jeździec. Tylko się nie waż mówić, u kogo służymy.

Sievers (po cichu). To pewno i wasz pan Götz zład niedaleko?

Pierwszy jeździec. Stul gębę! Czyście się z kim poswarzyli?

Sievers. Musieliście spotkać tych drabów, — to Bambergczycy.

Pierwszy jeździec. A oni tutaj co robią?

Metzler. Pan Weisling gości w zamku u jaśnie pana. Oni go eskortowali.

Pierwszy jeździec. Weisling?

Drugi jeździec. Pietrze! To doskonała gratka! (Głośno.) Czy on tam już dawno?

Metzler. Od dwóch dni. Alem słyszał, jak mówił jeden z tych urwipołciów, że dzisiaj odjeżdża.

Pierwszy jeździec (po cichu). Albow ci nie gadał, że on tutaj siedzi? Piękniebyśmy tam byli czekali na niego. Chodź, Kacper.

Sievers. Toć nam wprzód pomożcie wytłuc tych Bambergzyków!

Drugi jeździec. Przecież i was jest dwóch. Nam pilno w drogę. Ostańcie z Bogiem! (Odchodzą).

Sievers. Gałgany te jeźdźcy! Jak im nie zapłacisz, to ci się nie ruszą.

Metzler. Przysiągłbym, że mają coś napiętego. Czyje to ludzie?

Sievers. Kazali mi nie mówić. To ludzie pana Götza.

Metzler. Czy tak? No, chodź! teraz weźmy się do tamtych na dworze. Dopóki pałkę mam w rękę, ja się ich różna nie zleknię.

Sievers. Żeby się choć raz tak można zabrać do książąt, którzy nas obdzierają ze skóry!

KARCZMA W LESIE.

Götz (przed sienią, pod lipą). Gdzie też siedzą moi ludzie? Trzeba pochodzić, żeby sen mi nie zmorzył. Piątą dobę już pilnuję i czuвам. Niemąło namęczy się człowiek za tę trochę wolności i życia. Za to, gdy cię będę miał w rękę, Weislingu, odpoczne sobie na dobre. (Nalewa.) Już znów pusty dzbanek! Jerzy! Dopóki tego nie zbraknie, a w sercu odwagi, drwię sobie z chciwości i intryg książęcych. — Jerzy! Posyłajcie wy sobie usłużnego Weislinga do waszych krewniaków i kumów, niechaj mnie czerni! I owszem! Ja czuвам. Wyknąłś mi się, biskupie! Więc niechże kochany twój Weisling za ciebie odpowie! — Jerzy! Cóż to, czy ogłuchł? Jerzy! Jerzy!

Pacholę (w zbroi dorosłego wojaka). Jestem, panie!

Götz. Gdzież ty siedzisz? Czy spałeś? Cóż to u kata za maskarada? Chodź-no tu! Nieźle wyglądasz. Nie wstydź się, chłopcze! Chwacz ciebie! Szkoda tylko, że to na wzrost twój za duże! To Hansa pancierz?

Jerzy. Chciał się trochę przespać i zdjął go.

Götz. Większy Wygodniaki od swego pana.

Jerzy. Nie gniewajcie się, panie! Zabrałem go po cichutku, włożyłem na siebie i zdjąłem ze ściany stary miecz mego ojca, — wybiegłem na łąkę i dobyłem go z pochwy.

Götz. I machałeś nim w prawo i w lewo? Nie zazdroszczę krzakom i płotom. Czy Hans śpi?

Jerzy. Zerwał się, kiedyście zawołali, i krzyknął na mnie, że mnie potrzebujecie. Chciałem zdjąć zbroję, lecz wołaliście raz jeszcze i drugi...

Götz. Idź! odnieś mu pancierz i każ mu, żeby był gotów, — żeby zajrzał do koni.

Jerzy. Już ja je podpasłem i okulbaczyłem. Jeśli wola, możecie wsiadać, choćby i zaraz.

Götz. Przynieś dzban wina i Hansowi daj kubek; powiedz mu, żeby się trzymał, — że pora nadchodzi. Lada chwila wyglądam powrotu moich zwiadników.

Jerzy. Ach, panie!

Götz. Cóż takiego?

Jerzy. Czy nie weźmiecie mię z sobą?

Götz. Na drugi raz, Jerzy; jak wyjedziemy zabierać kupców i wozy.

Jerzy. Na drugi raz! takeście mi już nieraz mówili. O dzisiaj! dzisiaj! Z tyłu tylko biedz będę za wami, tylko się z boku uczepię! Strzały wystrzelone będę wam zbierał.

Götz. Na przyszły raz, Jerzy! Jeszcze ci się wprzód sprawi żupan, hełm blaszany i dzidę.

Jerzy. Weźcie mnie z sobą! Gdybym przeszłym razem był z wami, nie bylibyście łuku stracili.

Götz. To ty już wiesz o tém?

Jerzy. Cisnęliście nim w oczy nieprzyjacielowi; któryś z piechurów go podniósł i już go nikt nie zobaczył! A cóż! może nie wiem?

Götz. Któż o tém ci rozpowiada? Czy moje pacholki?

Jerzy. A tak! Za to im też, kiedy konie chędożą, gwizdzą przeróżne nuty i ucę ich rozmaitych wesołych piosenek.

Götz. Walny z ciebie chłopak.

Jerzy. Weźcie mnie z sobą! Niech przekonam, że prawda!

Götz. Na drugi raz! masz moje słowo. Niezbrojnego brać cię nie mogę do bójki. Przyszłe czasy także bez zuchów się nie obejdą. Mówię ci, chłopcze, że drogie nastaną czasy: — książęta radziby swoje skarby oddać za tego człowieka, którego dziś nienawidzą. Idź, Jerzy, odnieś zbroję Hansowi, a mnie przyniesź wina. (Jerzy odchodzi). Gdzie też siedzą moi ludzie? Rzecz niepojęta. — Zakonnik! Zkądże ten jeszcze przychodzi w tę porę?

(Brat Marcin wchodzi).

Götz. Dobry wieczór, ojcie wielbny. Zkąd-to tak późno? Jesteście mężem świętej zaciszy, a zawstydzacie niejednego rycerza.

Marcin. Dzięki wam, szlachetny panie! Jam tylko pokorny braciszek, jeśli koniecznie chcecie zwać po godności. Zakonne imię moje Augustyn, lecz najlepiej lubię, gdy mię wołają po chrzestném, Marcinem.

Götz. Zmęczyliście się, bracie Marcinie, i pewno jesteście spragnieni. (Jerzy wchodzi). W samą porę wino przynoszą.

Marcin. Ja prosiłbym wody. Wina pić mi nie wolno.

Götz. Czyście tak ślubowali?

Marcin. Nie, wielmożny panie, nie ślubowałem, że nie będę pił wina; ale że wino przeciwia się memu ślubowi, więc wina nie pijam.

Götz. Jak wy to rozumiecie?

Marcin. Szczęśliwi jesteście, że to dla was niezrozumiałe. Jedzenie i picie, tak sądzą, stanowią życie człowieka?

Götz. Zapewne.

Marcin. Najadłszy się i napiwszy, czujecie się, jakby narodzonym na nowo; więcéj macie siły, więcéj odwagi, jesteście sprawniejsi do dzieła. Wino rozwesela serce człowiecze, a wesołość jest wszystkich cnót rodzicielką. Gdy napijecie się wina, jesteście wszystkiém w dwójnasób, czém być powinniście: — i myśl wasza dwa razy lżejsza, i przedsięwziętości dwa razy tyle, i wykonanie szybsze dwa razy.

Götz. Tak jak ja piję, to prawda.

Marcin. O tém właśnie i mówię. Ale my — (Jerzy przynosi wodę).

Götz (po cichu do Jerzego). Wyjdź-no na drogę do Dachsbach, przyłóż ucho do ziemi, czy nie usłyszysz koni biegnących, i zaraz tu wracaj.

Marcin. Ale my, kiedy się najemy i napijemy, właśnie tém jesteśmy na opak, czémbyśmy być powinni. Ospałe trawienie nastraja głowę według żołądka, i w osłabieniu przesyconego spoczynku rodzą się chucie, które łatwą nad nią zyskują przewagę.

Götz. Jeden kubek, bracie Marcinie, snu wam nie przerwie. Dużoście dzisiaj chodzili. (Podaje mu wina). Za zdrowie wszystkich walczących!

Marcin. Niech i tak będzie! (tracają się). Nie znoszę próżniaków; choć co prawda, trudno powiedzieć, żeby każdy zakonnik próżnował. Robią oni co mogą. Idę właśnie od Ś. Idziego, gdzie wczoraj noco-wał. Przeor zaprowadził mnie do ogrodu; to jakby ich ul. Sałata wyborna! Kapusty ile wam się zażąda! a szczególnie karczochy i kalafior, jakich nie ma drugich w Europie!

Götz. A więc to nie dla was. (Wstaje, wygląda za Jerzym i wraca).

Marcin. Chciałbym, żeby mię Bóg zrobił ogrodnikiem lub kuchtą; byłbym może szczęśliwy. Opat mnie lubi; mój klasztor w Erfurcie, w Saksonii. Wié on, że długo na jedném miejscu wysiedzieć nie umiem; więc mnie posęła, gdzie jest co do sprawienia. Teraz idę do biskupa w Konstancyi.

Götz. Jeszcze kubek! Dobrego załatwienia spraw waszych!

Marcin. Nawzajem!

Götz. Czego tak wpatrujecie się we mnie?

Marcin. Bom się zakochał w waszym pancerzu.

Götz. Czyby i wam się takiego zachciało? Ciężkie to i niebardzo wygodne.

Marcin. Alboż jest co na tym świecie lekkiego? A dla mnie najcięższe, że nie wolno mi być człowiekiem. Ubóstwo, czystość i posłuszeństwo — trzy rzeczy, z których każda z osobna wydaje się najwstrętniejszą, tak one wszystkie trudne są do zniesienia! A cóż dopiéro, gdy pod takiém brzemieniem, albo pod daleko gorszym jeszcze ciężarem sumienia, cały żywot przejdzie przejęczyć! O panie! czémże

są trudy waszego stanu w porównaniu z nędzą zawodu, który dla złe zrozumianej chęci zbliżenia się z Bogiem potępia w nas najlepsze popędy, darzące nas życiem, pozwalające nam rosnąć i krzewić się?

Götz. Gdyby nie świętość waszego ślubu, namówiłbym was, żebyście włożyli na siebie pancerz, dałbym wam konia i razem wyruszylibyśmy w pole.

Marcin. Dałby Bóg, żeby ramiona moje dość miały siły na dzwiganie pancerza, a ręka na zwalenie z siodła nieprzyjaciela! — Biedna, słaba ta ręka, przywykła tylko nosić krzyże i chorągwie kościelne, albo wywijać kadzielnicami, jakżeby ona władać umiała mieczem i dzidą! Głos mój, nastrojony jedynie na Zdrowański lub Alleluja, zwiastowałby wrogom mą niemoc, gdy tymczasem wasz przejmuję ich strachem. Żadenby mię ślub nie powstrzymał od zapisania się do tego zakonu, którego założycielem sam Stwórca.

Götz. Szczęśliwego powrotu!

Marcin. Na tę intencję dla was tylko wychył ten kubek. Do mojej klątki powrót nigdy nie bywa szczęśliwy. Kiedy wy, panie, wracacie w swe mury, z poczuciem waszego męztwa i siły, których żaden trud umniejszyć nie zdoła, — i kiedy po dłuższej przerwie znów po raz pierwszy, w bezpieczeństwie już od wrogiego napadu, rzucacie się, zdjawszy zbroję, na łożę, a sen za którym od tak dawna tęskniliście, smakuje wam lepiej, niż mnie po dłuższym pragnieniu to wino, — toż to dopiero nazywa się szczęściem!

Götz. Nie często też ono przychodzi.

Marcin (z wzrastającym zapałem). Ale za to, gdy przyjdzie, stanowi przedsmak rajskich rozkoszy. — Kiedy wracacie, obarczeni łupem nieprzyjaciela, i pomyślicie sobie tak w duszy: — Tegom skłui z konia, zanim zdążył wystrzelić, a tegom powalił na ziemię wraz z koniem — a potem, kiedy wjeżdżacie do zamku, a potem — —

Götz. Cóż potem?

Marcin. A wasze kobiety! (Nalewa). Zdrowie waszej małżonki! (Ściera łzę z oka). Wszak macie małżonkę?

Götz. Szlachetną, zącą kobietę!

Marcin. Błogosławiony ten, kto ma zącą niewiastę! Życie jego przedłużone będzie w dwójnasób. Ja niewiast nie znam, a jednak niewiasta była koroną Stworzenia!

Götz (na stronie). Żal mi go! Tęsknota powołania trawi mu duszę.

Jerzy (wpada). Panie! słyhać konie biegnące cwałem! Aż parę! Oni to, niezawodnie!

Götz. Wyprowadź mojego konia! Hans na swojego niech wsiada. Bywajcie zdrowi, miły bracie! Bóg z wami! Odwagi i cierpliwości! Pan Bóg i dla was odsłoni pole.

Marcin. Jeśli łaska, powiedzcie mi swoje nazwisko!

Götz. Wybaczcie! Bywajcie zdrowi! (Podaje mu lewą rękę.)

Marcin. Dlaczego podajecie mi lewą? Czym ja nie wart rycerskiej prawicy?

Götz. Choćbyście nawet byli cesarzem, inną dałbym wam nie mógł. Moją prawicą, lubo na wojaczce jeszcze przydać się może, nieczuła jest na uścisk życzliwy. Ona z kruszcu tego samego, co rękawica; wszak widzicie, że ona z żelaza.

Marcin. A więcście wy Götz von Berlichingen! Dzięki Ci, Panie, żeś mi go ujrzyć pozwolił, tego człowieka, którego nienawidzą książęta, a do którego zwracają się uciśnieni. (Bierze go za prawą rękę). Pozwólcie, niech ją ucałuję!

Götz. Na to zezwolić nie mogę.

Marcin. Pozwólcie! Ty rękę, cenniejszą od owój relikwii, przez którą święta krew popłynęła! Martwe narzędzie, ożywione najszlachetniejszą w Boga ufnością!

Götz (kładzie hełm i bierze do ręki włócznię).

Marcin. Był u nas przed laty zakonnik, który was widział, gdy wam rękę ustrzelono pod Landshut. Opowiadał nam o waszych cierpieniach, i jak to was najwięcej bolało, żeście już do swego rzemiosła niezdatni, — i jak przyszło wam na myśl, żeście słyszeli o takim, co także jedną tylko miał rękę, a jednak długo jeszcze pełnił walecznie służbę rycerską — o! nigdy mi to z pamięci nie wyjdzie!

(Wchodzą dwaj jeźdźcy.)

Götz (zwraca się do nich i rozmawia z nimi po cichu).

Marcin (mówiąc tymczasem dalej). Nigdy mi z pamięci nie wyjdzie, jak w najszlachetniejszym, najpełniejszym zaufaniu w Ojca Wszechmogącego, zawołaliście wtedy: A choćbym rąk miał dwanaście, a Twoja łaska gdyby mi nie dopisywała, naczóżby mi się one przydały? Więc jeszcze tą jedną —

Götz. A zatem w boru Haslachskim? (Odwraca się do Marcina). Bywajcie zdrowi, zacny bracie Marcinie! (Całuje go.)

Marcin. A nie zapominajcie o mnie tak samo, jak o was ja nie zapomnę. (Götz wychodzi.) Aż mi się serce ścisnęło, gdy go zobaczył. Nic nie mówił, a jednak duch mój na jego duchu się poznał. Prawdziwa-to rozkosz oglądać wielkiego męża.

Jerzy. Wszakże, wielbny ojcie, u nas zanocujecie?

Marcin. A czy jest łóżko?

Jerzy. Łóżko? Nie, panie! O łózkach wiem tylko ze słychu. W naszej oberży nic oprócz słomy.

Marcin. Dobre i to! Jakże się zowiesz?

Jerzy. Jerzy, wielbny ojcie!

Marcin. Jerzy! Możesz się pochwalić dzielnym patronem.

Jerzy. Podobno był jeźdźcem; i ja nim chcę zostać.

Marcin. Poczekaj! (Wyjmuje brewiarz i daje mu z niego obrazek). Oto go masz! Idź za jego przykładem, bądź walecznym i żyj w Bożej bojaźni! (Odchodzi).

Jerzy. Ach jakież to śliczny siwosz! Gdybym ja miał takiego! — A złota ta zbroja! — Smok bo paskudny! — Teraz strzelam do wróbli — Święty Jerzy! zrób mię dużym i silnym, daj mi takiego konia, zbroję i włócznię, a potem niech sobie przyjdą i smoki!

J A X T H A U S E N.

Zamek Götza.

Elżbieta, jego żona; Marya, jego siostra; Karol, jego synalek.

Karol. Proszę cię, droga ciociu, opowiedz mi raz jeszcze historię o pobożnej dziecinie; takie-to ładne!

Marya. Ty mi spróbuj powtórzyć, to zobaczę, czyś słuchał z uwagą.

Karol. Zaraz, niech sobie przypomnę. Raz była — — a no tak! — raz była dziecina, a matka jój była chora; więc dziecko poszło —

Marya. Nie tak. Matka rzekła: kochane dziecko —

Karol. Jestem chora —

Marya. I nie mogę wyjść z domu —

Karol. Więc dała dziecku pieniędzy i powiedziała: Idź i kup sobie śniadanie. Więc przyszedł ubogi —

Marya. Dziecina poszła i spotkała staruszkę, to był — No! jak było dalej?

Karol. To był — staruszek —

Marya. A tak! Ledwo już stawiał nogi; i rzekł: Droga dziecino —

Karol. Daj mi co! wczoraj i dziś nie jadłem. Więc dziecina dała jemu pieniądze —

Marya. Za które miała sobie kupić śniadanie —

Karol. Więc staruszek powiedział —

Marya. Więc staruszek wziął dziecko —

Karol. Za rękę i powiedział — i przemienił się w pięknego, jasnego Świętego — i powiedział: Droga dziecino —

Marya. Za twoje miłosierdzie Matka Boska wynagradza ciębie przezemnie: — każdy chory, którego się dotkniesz —

Karol. Ręką — czy nie prawą? wszak prawda?

Marya. A tak!

Karol. Ten wyzdrowieje od razu.

Marya. Dziecina pobiegła do domu, nie mogąc z radości słowa wymówić —

Karol. I rzuciła się matce na szyję i płakała z radości —

Marya. A matka zawołała: Co to zemną się dzieje? — i była — no! jakże dalej, Karolku?

Karol. I była — i była —

Marya. Znów nie uważasz! — i była już zdrową. A dziecina leczyła cesarzy i królów, i takie zebrała bogactwa, że wystawiła ogromny klasztor.

Elżbieta. Nie pojmuję, gdzie pan mój bawi tak długo. Już go pięć dni nie widać, a on miał nadzieję, że swój zamiar wykona tak prędko.

Marya. Ja oddawna się już niepokoję. Gdybym ja miała takiego męża, co by się ustawicznie narażał na niebezpieczeństwa, tobym w pierwszym zaraz roku umarła.

Elżbieta. Ja za to Bogu dziękuję, że mnie z mocniejszej gliny ulepił.

Karol. Alboż ojciec koniecznie musi wyjeżdżać, kiedy to tak niebezpiecznie?

Marya. Nie *musi*, ale sam taką ma wolę.

Elżbieta. Oj musi, kochanie — musi.

Karol. Dlaczego?

Elżbieta. Czy pamiętasz jeszcze, jak ostatnią razą wyjeżdżał, kiedy ci to przywiózł kołaczka?

Karol. Czy przywiezie mi znowu?

Elżbieta. Pewno przywiezie. Widzisz, wtenczas był krawiec z Stuttgartu, wyborny łucznik, który w Kolonii przy strzelaniu do celu wygrał pierwszą nagrodę.

Karol. Czy dużo?

Elżbieta. Sto talarów; ale mu ich nie chcieli wypłacić.

Marya. Prawda, Karolku, że to paskudnie?

Karol. Paskudne ludzie!

Elżbieta. I przyszedł krawiec do ojca i prosił go, żeby mu pomógł odebrać pieniądze. Ojciec pojechał i zabrał Kolonczykom dwóch kupców, których trzymał tak długo, aż pieniądze wydali. Czybyś i ty nie pojechał?

Karol. O nie! To się jedzie przez duży, gęsty las — tam cyganie i czarownice!

Elżbieta. To mi zuch, co się boi czarownice!

Marya. Lepiej zrobisz, Karolku, jak swój będziesz miał zamek, żebyś w nim mieszkał jako pobożny chrześcianin i rycerz. Temu co chce dobrze czynić bliźniemu, we własnym majątku nigdy do tego

sposobności nie zbraknie. Najzaczniejsi rycerze w swoich wyprawach więcej wyrządzają krzywdy, niż sprawiedliwości.

Elżbieta. Nie wiesz, siostró, co mówisz. Niechby tylko dał Pan Bóg, żeby nam chłopiec wyrósł na dzielnego rycerza i nie wdał się w tego Weislinga, który tak zdradziecko z mężem moim postąpił.

Marya. Nie nasza rzecz sądzić, Elżbieto. Brat mój jest rozżalony, ty także. Ja całej téj sprawie więcej przypatruję się z boku i mogę być bezstronniejszą.

Elżbieta. Nic go wytłómaczyć nie zdoła.

Marya. Mnie wszystko zajęło, com o nim słyszała. Wszakże sam mąż twój nie mógł go się nachwalić! Jak szczęśliwą była ich młodość, kiedy na dworze margrabi byli paziami!

Elżbieta. Być może! Powiedz jednak, czy mógł kiedy być dobrym ten człowiek, który ściga najlepszego, najwierniejszego swojego druha, który swoje usługi zaprzedał wrogom swojego męża i zmysłownemi potwarczemi przedstawieniami stara się uprzedzić przeciwko niemu naszego miłościwego cesarza, który nam zawsze tak sprzyjał!

Karol. Ojciec jedzie! to ojciec! Z wieży słyszać trąbkę strażnika: Hola! otwórzcie wrota!

Elżbieta. Wraca, i z łupem.

Wchodzi jeździec.

Jeździec. Polowaliśmy! ułowiliśmy! Bóg z wami, szlachetne panie!

Elżbieta. Czy macie Weislinga?

Jeździec. Mam go z trzema jeźdźcami.

Elżbieta. Czegożeście siedzieli tak długo?

Jeździec. Zaczailiśmy się na niego między Bambergiem i Norymbergą; nie było go widać, a wiedzieliśmy jednak, że w drogę wyruszył. Dostaliśmy nareszcie języka, że zboczył na lewo i siedzi spokojnie u hrabi na Schwartzenbergu.

Elżbieta. Jego radziby także podburzyć przeciw mojemu mężowi.

Jeździec. Zaraz panu o tém doniosłem. My na koń i wjeżdżamy w bór Haslach. Tu zabawny mieliśmy widok: — gdy jedziemy tak nocą, spotykamy pastucha, a w tém na jego stado napada pięciu aż wilków i porządnie w niem gospodarują. Pan nasz się roześmiał i rzekł: „Szczęść wam Boże, mili towarzysze, do dzieła! I nam także szczęść Boże!“ I dobrej wróżbie wszyscy byliśmy radzi. W tém nadjeżdża Weislingen z czterema ludźmi.

Marya. Drzę cała.

Jeździec. Ja i mój towarzyszy, jak pan nam przykazał, tuż nacieramy na niego, jak gdyby z nas jeden był człowiek, tak że ruszyć się

nie mógł, a tymczasem pan z Hansem wpadli na pacholków, których pojмали. Jeden z nich zemknął.

Elżbieta. Ciekawam jego zobaczyć. Czy prędko tu będą?

Jeździec. Już byli w dolinie; tylko co ich nie widać.

Marya. On pewno smutny.

Jeździec. A tak! jakoś pochmurny.

Marya. Jego widok ściśnie mi serce.

Elżbieta. O! — Zaraz zabiorę się do obiadu. Pewnieście wszyscy głodni?

Jeździec. Porządnie.

Elżbieta (do Maryi). Oto bierz klucz od piwnicy i najlepszego przynieś im wina! Zasłużyli na nie. (Ochodzi).

Karol. Ja pójdę z ciocią.

Marya. Chodź, chłopcze. (Ochodzi).

Jeździec. Ten nie wda się w ojca, bo wolałby pójść do stajni!

(Götz; Weislingen; pacholki.)

Götz (hełm i miecz kładzie na stole). Odpaszcie pancerz i podajcie mi żupan! Wygodnie sobie odetchnę. Miałeś słuszość, bracie Marcinie! — Nie poskapiliście nam roboty, Weislingu.

Weislingen (przechadza się milczący po izbie).

Götz. Nie trapcie się! No! zdéjmcie-że zbroję! Gdzie wasze ubranie? Spodziewam się, że nic nie zginęło. (Do pacholka). Zapytaj pańskich ludzi, niech otworzą tłómoki i dajcie baczenie, żeby nic nie przepadło. Mógłbym wam téż co z moich rzeczy pożyczyć.

Weislingen. Zostawcie mię tak; wszystko mi jedno.

Götz. Mógłbym wam dać ładną i piękną suknię; prawda, że tylko lnianą. Dla mnie już ona za ciasna. Miałem ją na weselu mojego miłościwego Falegrabi, wtenczas właśnie, kiedy się wasz biskup tak na mnie rozsierdził. Przedtém na dwa tygodnie zabrałem mu był dwa statki na Menie. I oto w Heidelbergu, w austeryi, z Frantzem von Sickingen wchodzimy na schody; w pół drogi one skręcają się i poręcz jest przy nich żelazna, a tutaj stał biskup, i Frantzowi, gdy koło niego przechodził, podał uprzejmie rękę, i zemną uczynił tak samo. Roześmiałem się w duszy i poszedłem do Hanauskiego landgraфа, który na mnie był wielce miłościw, i rzekłem: Biskup podał mi rękę; założę się, że mię nie poznał. Usłyszał to biskup, bo naumyślnie odezwałem się głośno, i hardo do nas przystąpił i mówi: — Prawda, podałem wam rękę, bom was nie poznał. — Więc ja na to odrzekłem: — Domyśliłem się, panie, żeście mnie nie poznali; więc macie oto swoją rękę napowrót! — Człowieczyna się za to tak rozczupurzył i poczerwieniał, jak rak gotowany, i pobiegł do komnaty pożalić się na

mnie przed falcgrabią Ludwikiem i przed księciem Nassauskim. Nie-
raz później jeszcze mieliśmy z tego sto pociech.

Welslingen. Wolałbym, żebyście mię zostawili samego.

Götz. Dlaczego? Proszę was, chciejcie być dobrą myślą. Jeste-
ście w mojej mocy, a ja jej nie nadużyję.

Welslingen. Tegom się jeszcze nie lękał. Taki wasz obowiązek
rycerski.

Götz. A dobrze wiecie, że ten dla mnie jest świętym.

Welslingen. Jestem w niewoli; reszta wszystko mi jedno.

Götz. Tak nie wypada wam mówić. Gdybyście sprawę mieli z ja-
kim księżciem, co by was w wieży kazał na łańcuchu zawiesić, a do-
zorcy świstać nad uchem, żeby wam sen spędzić z powiek — — (Pa-
chołki wchodzą z ubraniem).

Welslingen (zdejmuje zbroję i kładzie inną odzież).

Wchodzi *Karol*.

Karol. Dzień dobry, ojczu.

Götz (całuje go). Dzień dobry, chłopczu. Jakże się wam przez
czas ten tu działo?

Karol. Wcale nie głupio, ojczu. Ciocia mówi, że ja wcale nie
głupi.

Götz. Doprawdy?

Karol. Ojczu, czyś mi co przywiózł?

Götz. Dzisiaj nic nie przywiozłem.

Karol. Nauczyłem się dużo rzeczy.

Götz. Ejże!

Karol. Czy powiedzieć ci o pobożnej dziecinie?

Götz. Po obiedzie.

Karol. I jeszcze coś umiem.

Götz. I cóżby to było?

Karol. Jaxthausen, wieś i zamek nad Jaxtą; od lat dwustu jest
dziedziczną własnością panów von Berlichingen.

Götz. A znasz ty pana von Berlichingen?

Karol (wpatruje się w niego).

Götz. Taki uczony, że nie zna własnego ojca. Do kogo należy
Jaxthausen?

Karol. Jaxthausen wieś i zamek nad Jaxtą.

Götz. Nie o to się pytam. Jam znał tu wszystkie ścieżki i brody,
zanim jeszcze wiedziałem, jak się wieś i zamek nazywa. Czy matka
w kuchni?

Karol. Tak, w kuchni; gotuje białą rzepkę i pieczeń baranią.

Götz. A ty z kąd wiesz o tém, mości kuchmistrzu?

Karol. Dla mnie na wety ciocia upiekła jabłko.

Götz. Alboż nie potrafisz zjeść surowego?

Karol. Pieczone lepiej smakuje.

Götz. Dla ciebie zawsze muszą być jakieś osóbk. — Weislingen! wróć za chwilę; wszak trzeba przywitać się z żoną. Chodź, Karol!

Karol. Co to za pan?

Götz. Ukłoń się jemu i poproś, żeby się rozweselił.

Karol. Oto, panie, masz rękę! Bądź wesół! obiad zaraz na stole!

Weislingen (bierze go za rękę i całuje w czoło). Szczęśliwe dziecię, dla którego największém jeszcze nieszczęściem, jeżeli się z obiadem opóźnia! Daj wam Boże, Berlichingen, doczekać pociechy z tego chłopczyka!

Götz. Gdzie dużo światła, tam i cień większy — chętniebym jednak na to się zgodził. Ale idźmy zobaczyć, co Pan Bóg dał. (Odchodzi z Karolem).

Weislingen (sam). O! gdyby to wszystko było snem, i gdybym się z niego przebudził! Jam w mocy Berlichinga! od któregom się ledwie co tylko oderwał! o którym unikałem wspomnienia, jak ognia, a mogłem spodziewać się, że je pokonam! Teraz on — stary, poczciwy Götz! Święty Boże! pytam się, co będzie z tego wszystkiego? Oto jestem znów w sali téj saméj, w której dziećmi będąc wyprawialiśmy nasze harce — gdzien go kochał i od serca był doń przywiązany. Czyż mógłby kto być z nim i nie kochać go? Ach! cóż ja tu znaczę? Minęły szczęśliwe te czasy, gdy stary Berlichingen siadywał przy tym kominku, gdyśmy bawiąc się wkoło niego biegali i miłowali się miłością anielską. — Jakże o mnie trwożyć się będzie biskup! — a reszta przyjaciół! Jestem pewny, że z mojem nieszczęściem kraj cały współczuje. I cóż! Czyż oni dać mi potrafią, do czego ja dążę?

Götz (z dzbanem wina i kubkiem). Dopóki nie podadzą nam na stół, wypijemy sobie tu po szklenicy! No, siadajcie i róbcie, jak gdybyście byli u siebie! Pomyślcie, żeście znowu raz zawitali do Götz! Toć dawnośmy już z sobą nie byli i we dwóch nie wypróbniali kieliszka. (Pije do niego). Wesołego umysłu!

Weislingen. Minęły te czasy.

Götz. Broń Boże! Wprawdzie zapewne weselszych już dni mieć nie będziemy, niż na dworze Margrabi, kiedyśmy się razem włóczyli i w jedném łóżku sypiali. Ja rad sobie przypominam mą młodość. Czy pamiętacie, jakem się pokłócił z owym Madżjarem, któremu nie chcący rękawem rozczochrałem wysmarowaną czuprynę?

Weislingen. To było przy stole, a on na was rzucił się z nożem.

Götz. Dobrzem go téż wtenczas wygrzmocił, a za to wy poswarzyliście się z jego kumpanem. My bo ciągle trzymaliśmy z sobą, jak na zacnych i dzielnych chłopców przystało, i każdy nas téż za takich

uznawał. (Nalewa i podaje mu kubek.) *Kastor i Pollux!* Zawszem radował się w duszy, ile razy nas tak *Margrabia* nazywał.

Weislingen. Był to koncept biskupa z *Würtzburgu*.

Götz. Pan wielce uczony, a przytém nader uprzejmy. Póki życia pamiętać go będę, jak z nami się pieścił, jak zgodę naszą wychwalał i za szczęśliwego uważał tego człowieka, który jest druha swego bliźniakiem.

Weislingen. Nie mówmy już o tém!

Götz. A to dlaczego? Nie nie masz miłszego po pracy, jak przypominać sobie chwile minione. Prawda, gdy znowu pomyślę, jak wspólnie znosiliśmy złe i dobre, jak jeden wszystkiem był dla drugiego, i jak wówczas marzyłem, że tak przez całe życie zostanie! Czyż to nie było jedyną moją pociechą, kiedy pod *Landshut* ustrzelili mi rękę, żeś ty mię pielęgnował i pieczę miałeś o mnie prawdziwie braterską? Jam się spodziewał, że w przyszłości prawą mą ręką będzie *Adalbert*. A teraz — —

Weislingen. O!

Götz. Gdybyś mnie był wtenczas posłuchał, kiedym cię błagał, byś zemną wybrał się do *Brabancyi*, wszystko byłoby dobrze. Ale ciebie zatrzymywało nieszczęśliwe to życie dworskie, mizdrzenie się i umizgi do kobiet. Zawsze ci to mawiałem, kiedyś się wdawał z temi próżnemi, przebrzydłemi babami, opowiadając im o niezgodnych małżeństwach, o uwiedzionych dziewczętach i różne takie historye, których słuchać lubią najlepiej — zawszem ci mawiał: *Adalbercie*, ty się kierujesz na łotra!

Weislingen. Na cóż to wszystko się przyda?

Götz. Dałby Bóg, żebym mógł o tém zapomnieć, lub też żeby całkiem było inaczej! Alboż ty nie taki sam człowiek wolny i rycerz, jak którybądź w Niemczech? nie podległy, poddany jednego tylko cesarza, — a słaniaś się pod stopy jego wassalom? Co ci przyjdzie z biskupa? Czy to, że on twoim sąsiadem? że mógłby ciebie zaczepić? Alboż nie masz rąk i przyjaciół, by go zaczepiać nawzajem? Ty nie poznajesz się na godności wolnego szlachcica, zależnego tylko od Boga, cesarza i siebie samego! Schodzisz na dworzanina przy upartym i zawistnym księżynie!

Weislingen. Posłuchaj mię!

Götz. Cóż ty na to możesz powiedzieć?

Weislingen. Ty patrzysz na książąt, jak wilk na pasterza. A jednak, czy słusznie ich łajesz, że strzegą dobra swoich ludzi i ziemi? Alboż oni choć na chwilę bezpieczni od tych niesprawiedliwych rycerzy, którzy po wszystkich gościńcach napadają na ich poddanych i pustoszą im wioski i zamki? Jeżeli więc z drugiej strony kraje naszego ukochanego cesarza wystawione są na gwałty wroga ojczyzny, tak iż

zażądać musi pomocy swych Stanów, a one same zaledwie potrafią bronić swojego życia — czyż to nie dobry ich Anioł każe im przemyśliwać nad środkami uspokojenia Niemiec i wymierzania sprawiedliwości, ażeby każdy, maluczki czy możny, uczestniczyć mógł w dobrodziejstwach pokoju? A ty nam masz za złe, że się pod tych udajemy opiekę, których pomoc nam bliska, skoro oddalony monarcha sam sobie poradzić nie umie?

Götz. O zapewne! rozumiem! Gdyby książęta byli takimi, jak wy ich opisujecie, mielibyśmy wszyscy czego nam trzeba. Spokojność i pokój! Nie ma co mówić! Pragnie tego każde zwierzę drapieżne, żeby łup swój spokojnie spożyło. Dobrobyt dla wszystkich! Ani jeden włos im dlatego nie posiwieje na głowie! A z naszym cesarzem pozwalają sobie gry wcale nieprzyzwoitej. On chęci ma dobre i radby rzeczy naprawić; więc codzień nowy zjawia się druciarz i proponuje, że załata to albo owo. Ponieważ zaś pan nasz szybko pojmuje, i dosyć aby słówko powiedział, to tysiące rąk już są w ruchu, więc jemu się zdaje, że wszystko da się wykonać tak samo szybko i łatwo. Dopieroż ogłaszają jedne po drugich dekreta, a gdy wyjdzie następny, poprzedniego już nikt nie pamięta; co zaś książętom na rękę, tego wnet się chwytają, i gardłują o spokoju i bezpieczeństwie publiczném, aż dopóki karku drobniejszych pod stopy swoje nie ugną. Przysiągłbym, że w duszy niejeden Panu Bogu dziękuje, że bisurman trzyma w ryzie cesarza.

Weislingen. Tak to wy się zapatrujecie na rzeczy.

Götz. Każdy po swojemu. Pytanie tylko, po czyjój stronie światło i prawda; przynajmniej że wasze sprawy jasności dziennej się boją.

Weislingen. Wolno wam mówić; jam waszym jeńcem.

Götz. Jeżeli sumienie wasze jest czyste, ja was nie trzymam. A jakże to było z pokojem powszechnym? Pamiętam jeszcze, jako chłopię szesnastoletnie byłem na sejmie z Margrabią. Jak to wtenczas gębowali książęta, a duchowni najwięcej! Wasz biskup bez ustanku cesarzowi w uszy trąbił i trąbił, jak gdyby mu Bóg wie ile zależało na sprawiedliwości; a teraz mi chwyta pacholka, kiedy właśnie nasze już załatwione, i mnie nie złego ani przez myśl nie przeszło. Alboż między nami nie było już zgody? Cóż to miało znaczyć z pacholkiem?

Weislingen. To się stało bez jego wiedzy.

Götz. Dlaczegoż go więc nie wypuszczą?

Weislingen. Nie zachował się tak, jak należy.

Götz. Nie tak, jak należy? Na Boga! tak sobie postąpił, jak był powinien, jakem tego jest pewny, że go ujęli za wiedzą biskupa i wa-

szą. Cóż to? Albożem to dzisiaj dopiero narodził się na świat, żebym nie miał wiedzieć, do czego wszystko to zmierza?

Weislingen. Podejrzliwość wasza nas krzywdzi.

Götz. Chcecie, żebym powiedział wam wszystko, co myślę? Ja, chociaż małuczki, solą jestem wam w oku, tak samo Selbitz i Sickingen, dlatego żeśmy prędkiej umrzeć gotowi, niż zawdzięczać powietrze komu innemu, prócz Bogu, a służby nasze i wierność świadczyć komu innemu, prócz cesarzowi. I oto kręcą się koło mnie zdaleka, czernią mię przed jego cesarską mością i jej przyjaciółmi a moimi sąsiadami, szpiegując jeszcze, gdzieby mogli nademną wiaść górę. Jednym lub drugim sposobem chcieliby uprzętnąć mnie z drogi. Dlatego ujęliście mojego pachółka, boście wiedzieli, że go wysłał na zwiady; i dlatego zachował się nie tak, jak był powinien, że mnie nie zdradzał. A ty, Weislingu, tyś ich narzędziem!

Weislingen. Berlichingen!

Götz. Dosty już o tém! Nie cierpię żadnych wyjaśnień; albo się niemi oszukuje siebie samego, albo tamtego, a najczęściej się zdarza, że i jedno i drugie.

Karol. Ojczy, do stołu!

Götz. Dobra nowina! — Chodźcie, spodziewam się, że was rozweseli moje kobiety. Wiem, że dawniej bywaliście amatorem, a panny nie mogły się o was naopowiadać. — Idźmy! (Odchodzą).

W PAŁACU BISKUPIM W BAMBERGU.

S a l a j a d a l n a.

Biskup Bamberski; Opat Fuldy; Olearius; Liebetraut; Dworzanie.

(Przy stole. Wnoszą wety i wielkie pułhary.)

Biskup. Czy dużo teraz ze szlachty niemieckiej pobiera nauki w Bononii?

Olearius. I ze szlachty i z mieszczan. A nie chełpiąc się, największe im oddają pochwały. Na akademii już weszło w przysłowie: — pracowity, jak szlachcie niemiecki. Kiedy bowiem mieszczenie przykładają się do pracy chwalebnej, aby wiadomościami zastąpić brak urodzenia, tamci w godnym uznania współzawodnictwie starają się o to, żeby wartość przyrodzoną podwyższyć najświetniejszą zasługą.

Opat. Ejże!

Liebetraut. Czego to się człek nie doczeka! Pracowity, jak szlachcie niemiecki! Póki życia, nie słyszałem nic podobnego.

Olearius. A tak! Są oni całej akademii podziwem. Wkrótce kilku

z nich najstarszych i najuczeńszych powróci ze stopniem doktora. Cesarz będzie szczęśliwy, że będzie mógł niemi obsadzić najwyższe urzędy.

Biskup. Z pewnością to zrobi.

Opat. Czy nie znacie naprzykład młodego von — ? On jest z Hessyi.

Olearius. Z Hessyi tam jest niemało.

Opat. Nazywa się — jest — Czy nikt z was nie pamięta? Jego matka była z domu von — Ach! Jego ojciec miał tylko jedno oko — i był marszałkiem.

Liebetraut. Może von Wildenholz!

Opat. Właśnie — von Wildenholz.

Olearius. I owszem — znam ja go dobrze — to panicz wielkich zdolności. Szczególnie słynie on z dzielności w dyspacie.

Opat. Aha! wdał się w matkę.

Liebetraut. Tylko że mąż nigdy jęj tego nie chwalił.

Biskup. Jakżeście to nazwali tego cesarza, który był autorem waszych *Pandektów*?

Olearius. Justynian.

Biskup. Znakomity pan! niechaj żyje!

Olearius. Cześć jego pamięci! (Pija).

Opat. To musi być piękna księga.

Olearius. Moznaby ją nazwać księgą nad wszystkimi księgami. To zbiór wszystkich praw; przy każdej sprawie wyrok gotowy; a czegooby jeszcze nie dostawało, lub coby było niejasném, to uzupełniają komentarze, któremi najuczeńsi mężowie przyozdobili wspaniałe to dzieło.

Opat. Zbiór wszystkich praw! Co u Boga! To pewno tam znajdzie i dziesięcioro!

Olearius. Pośrednio są, ale nie bezpośrednio.

Opat. No naturalnie! W samym środku i bez pośrednictwa.

Biskup. A co w tém najlepsze, to że, jak mówicie, kraj, w którym cała ta księga byłaby wprowadzona, i gdzieby do niej ściśle się stosowano, mógłby żyć w największym pokoju i bezpieczeństwie.

Olearius. Bez wątpienia.

Biskup. Wszyscy doktorzy prawa niech żyją!

Olearius. Zdam ja sprawę o zaszczycie, jaki ich tutaj spotyka. (Pija). Dałby Bóg, żeby tak myśleli w mojej ojczyźnie!

Biskup. Zkąd-że wy rodem, uczony panie?

Olearius. Z Frankfurtu nad Menem, do usług waszj miłości.

Biskup. Alboż was tam nie cenią? Jakim to sposobem się dzieje?

Olearius. Dość dziwnym. Jeździłem tam po spadek po moim ojcu,

— a pospółstwo, skoro się dowiedziało że jestem jurystą, o mało mnie nie ukamionowało.

Opat. Niechże Bóg broni!

Olearius. Ale to ztąd pochodzi, że urząd ławników, który wszędzie w wielkiem bywa poszanowaniu, obsadzony jest samemi takimi ludźmi, którzy praw rzymskich całkiem nie znają. Im się zdaje, że powinno wystarczyć, gdy kto przez wiek albo przez doświadczenie nabędzie dokładnej znajomości wewnętrznego i zewnętrznego stanu swojego miasta, — i tak wydają wyroki na mieszczan i okolicznych mieszkańców według dawnych zwyczajów i kilku ustaw.

Opat. To wcale nieźle.

Olearius. Ale tego nie dosyć. Życie ludzkie jest krótkie, i trudno, żeby w jedném pokoleniu przytrafić się mogły wszystkie możliwe wypadki. Dopiero zbiór takich wypadków z wielu stuleci jest naszym kodeksem. A zresztą, wola i opinia ludzi są zmienne; jednemu dziś to się słuszném wydaje, co drugi nazajutrz potępia, — tak iż zamieszania i niesprawiedliwości niepodobna uniknąć. O tém wszystkiém właśnie stanowią prawa, a prawa zmianie nie ulegają.

Opat. Zapewne, że tak chyba lepiej.

Olearius. Gmin się na tém nie pozna, bo lubo na nowiny tak chciwy, nienawidzi on wszystko co nowe, jeżeliby go wywiodło ze zwykłej kolei, niechby nawet mu przez to było naj lepiej. Na jurystę patrzą ci ludzie, jakby na burzyciela albo na rzezimieszka, i mało się nie wściekną ze złości, gdy który się wśród nich osiedlić zamyśla.

Liebetraut. Jesteście z Frankfurtu! Znam ja go doskonale! Podczas koronacyi cesarza Maxymiliana pokazaliśmy waszój młodzieży, jak to się uczy wyprawia. Wszakże wy Olearius? Nazwisko to jest mi nieznane.

Olearius. Ojciec mój nazywał się Oelmann. Jedynie dlatego, żeby uniknąć niedogodności na tytułach moich rozpraw łacińskich, oraz idąc w tém za przykładem i radą czeigodnych prawników, przezwiałem się Olearius.

Liebetraut. I dobrzeście uczynili tłómacząc wasze nazwisko. Nikt w swojej ojczyźnie nie jest prorokiem, a wam łatwoby się mogło wydarzyć to samo w waszój mowie ojczystój.

Olearius. To nie dlatego.

Liebetraut. Wszystko miewa zwykle po kilka powodów.

Opat. Nikt w swojej ojczyźnie nie jest prorokiem!

Liebetraut. A czy wie też wasza przewielebność, dlaczego?

Opat. Dlatego, że się urodził tam i wychował.

Liebetraut. Zapewne! to może jedna przyczyna. Ale druga jest ta, że przy bliższej znajomości z temi panami niknie aureola świętości

i czcigodności, jaką kłamliwie otoczyła ich mgła oddalenia; potem zaś pokazuje się, że to nic, tylko małe, malenieczkie kawałki łożu.

Olearius. Wy chyba po to jesteście tutaj, żeby wyjeżdżać z prawdami.

Liebetraut. Ponieważ mam do tego odwagę, więc mi i języka w gębie nie zbraknie.

Olearius. Ale brak wam zręczności, żeby się z nimi stosownie odezwać.

Liebetraut. *Bańki* wszędzie są dobre, gdzie naciągają.

Olearius. Cyrulika znać po fartuchu i trudno się na niego obrażać. Dla pewności bym jednak wam radził, żebyście włożyli czapkę z dzwonekami.

Liebetraut. Gdzieście się doktoryzowali? To tylko tak, przez ciekawość, gdyby mi kiedy przyszedł ten koncept, żebym długo nie potrzebował się dopytywać i błąkać.

Olearius. Wyście zuchwali.

Liebetraut. A wy bardzo nudni. *(Biskup i Opat się śmieją.)*

Biskup. Mówmy o czem innem! — Nie zapalajcie się, moi panowie. Przy stole wszystko uchodzi. — O czem innem, mój Liebetraucie!

Liebetraut. Po drugiej stronie Frankfurtu leży wieś Sachsenhausen —

Olearius. Cóż, proszę waszój miłości, powiadają o wyprawie na Turka?

Biskup. Cesarzowi nic pilniejszego, jak przedewszystkiem kraj uspokoić, znieść najazdy szlacheckie i ustalić powagę sądów. Potem, mówią, osobiście wyruszy na wrogów chrześcijaństwa i państwa. Jak dotąd, swary prywatne dają mu roboty niemało, a państwo, pomimo blisko czterdziestu pokojów powszechnych, ciągle jeszcze jest jamą rabusiów. Frankonię, Szwabię, Wyższy Ren i ziemie graniczne pustoszą swawolni i zuchwali rycerze. Sickingen, Selbitz o jednej nodze Berlichingen Żelaznoręki drwią sobie w tych okolicach z powagi cesarskiej.

Opat. Tak, jeżeli najjaśniejszy pan rychło w tém nie poradzi, ci hultaje gotowi zjeść człowieka z kretezem.

Liebetraut. Toby mi dopiero był zuch, ktoby śmiał chcieć zjeść oxeft z Fuldy.

Biskup. Szczególnie ten ostatni oddawna jest nieprzejednanym moim nieprzyjacielem i niesłychanie mi się uprzykrza; spodziewam się jednak, że to już długo nie potrwa. Cesarz przebywa teraz z dworem swoim w Augsburgu. Przedsięwzięliśmy środki, które chybić nie mogą. — Czy znacie Adalberta von Weislingen, panie doktorze?

Olearius. Nie, proszę waszój miłości.

Biskup. Jeżeli się doczekacie jego przyjazdu, będziecie radzi, że

ujrzycie w jednój osobie najszlachetniejszego, najrozumniejszego i najmilszego z rycerzy.

Olearius. Mąż to musi być niepospolity, który z ust takich na takie zasłużył sobie pochwały.

Liebetraut. Nie z żadnój on akademii.

Biskup. To nam wiadomo. (Słudzy biegną do okna.) Cóż tam się stało?

Sługa. Właśnie Färber, pachołek Weislinga, wjeżdża w bramę zamkową.

Biskup. Idźcie dowiedzieć się, jakie przywozi nowiny! Pewno przyjechał oznajmić o jego powrocie. (Liebetraut wychodzi. Tamci wstają i spełniają jeszcze po jednym kielichu. Liebetraut wraca.)

Biskup. Cóż jest nowego?

Liebetraut. Wolałbym, żeby wam powiedział kto inny. Weislingen jest w niewoli.

Biskup. O!

Liebetraut. Berlichingen pojmał go pod Haslachem i z nim trzech pachołków. Jeden z nich umknął, by wam o tém donieść.

Opat. Smutna nowina.

Olearius. Żal mi serdecznie.

Biskup. Chcę go zobaczyć: niech tutaj wejdzie! Chcę się sam z nim rozmówić. Przyprowadźcie go do mojej komnaty! (Odchodzi.)

Opat (siada). Jeszcze raz możnaby łyknąć! (Pachołki nalewają.)

Olearius. Czy wasza przewielebność nie zechce zrobić małej przechadzki po ogrodzie? *Post coenam stabis, aut passus mille meabis.*

Liebetraut. Doprawdy, siedzenie dla was niezdrowe. Jeszcze możecie dostać napadu apopleksyi. (Opat wstaje.)

Liebetraut (na stronie). Abym go miał tylko na dworze, już ja go rozrucham. (Odchodzi.)

J A X T H A U S E N.

Marya; Weislingen.

Marya. Powiadacie, że mnie kochacie. Chętnie temu wierzę i mam nadzieję być z wami szczęśliwą, równie jak was uszczęśliwić.

Weislingen. Ja nic innego nie czuję, tylko to jedno, żeś cały jest twoim. (Ściska ją.)

Marya. Proszę was, dajcie mi pokój. Jednego całusa pozwoliłam wam na zadatek; ale wy, jak się zdaje, chcielibyście wziąć już to w posiadanie, co tylko warunkowo jest waszém.

Weislingen. Zanadto sądzisz surowo, droga Maryo! Niewinną miłością Bóstwo się raduje, nie zaś obraża.

Marya. Niechajże i tak będzie! Ale mnie to nie cieszy. Uczono mnie zawsze, że pieszczoty, to jakby kajdany, silne swém podobieństwem, i że dziewczęta kiedy kochają, słabszymi są od Samsona, gdy mu włosy obcięto.

Weislingen. Kto ciebie tak uczył?

Marya. Ksieni mojego klasztoru. Do szesnastego roku życia bawiłam przy niej, i z wami tylko doznaję takiego szczęścia, jakiegom w rozmowie z nią doświadczała. Ona знаła miłość i umiała też o niej mówić. Serce jęj pełne było uczucia! Święta kobieta!

Weislingen. Była chyba podobną do ciebie! (Bierze ją za rękę.) Co się zemną dzieć będzie, gdy was przyjdzie opuścić?

Marya (cofa swoją rękę). Nie bez tego, żeby cokolwiek serce się i wam nie ścisnęło — bo wiem już, co będzie zemną. Ale wam trzeba odjeżdżać.

Weislingen. Tak, moja droga, i sam tego pragnę. Czuję ja doskonale, jakie szczęście za tę ofiarę mnie czeka. Błogosławiony niechaj będzie twój brat i ten dzień, w którym z domu wyruszył, żeby mię zabrać w niewolę.

Marya. Serce jęgo pełne było nadziei dla niego i dla was. Bądźcie zdrowi! — rzekł żegnając się z nami — postaram się go odnaleźć.

Weislingen. I odnalazł mnie. Jakże żałuję, że dla nieszczęśliwego tego życia u dworu przestał dbać o bezpieczeństwo i zarząd mojego majątku! Mogłabyś zaraz być moją.

Marya. I zwłoka nie bywa bez przyjemności.

Weislingen. O, nie mów tak, Maryo, bobym się lękał, że mniejsilnie czujesz odemnie. Zasłużyłem jednak na tę pokutę, a zresztą, jakież nadzieje na każdym kroku towarzyszyć mi będą! Całkiem być twoim, żyć w tobie jedynie i w zacnym tém kółku, — daleki i oderwany od świata używać tych wszystkich rozkoszy, jakich udzielać sobie mogą dwa serca! Czémże jest łaska księżęca, czém poklask świata powszechny w porównaniu z tém szczęściem, tak prostém, jedyném? Dużo się spodziewałem i wiele pragnąłem; to mi się wydarza nad wszelkie pragnienie i spodziew.

Götz wchodzi.

Götz. Wrócił już wasz pachołek, tak zmęczony i głodny, że ledwie słówko z niego da się wydobyć. Moja żona daje mu czém się posilić. Tylem tylko zrozumiał, że biskup nie chce wydać mojego chłopca i że się domaga wyznaczenia dnia, w którym komissarze cesarscy mają całą sprawę ułożyć. Niech sobie będzie, jak chce, Adalbercie — wyście już wolni. Niczego więcćj nie żądam, tylko ręki waszćj na to, że

w przyszłości nie będziecie wrogom moim pomagać ani jawnie, ani też potajemnie.

Weislungen. Oto biorę tu waszą rękę. Niech od tej chwili zaufanie i przyjaźń zapanują pomiędzy nami niezmiennie, jakby wiekuiste prawo natury! Pozwólcie mi zarazem ująć w swoją tę rękę (bierze rękę Maryi), i wraz z nią posiadanie najszlachetniejszej dziewczycy.

Götz. Czy zgodzić się w waszém imieniu?

Marya. Jeżeli i wy się zgadzacie.

Götz. Prawdziwe to szczęście, że na ten raz korzyści nasze idą tak w parze. Nie masz się czego rumienić. Spojrzenia twoje dość są wymowne. A więc, Weislungen, dobrze! Podajcie sobie dłonie, a ja powiem: Amen! — Mój przyjacielu i bracie! — Dziękuję ci, siostrze! Prządka z ciebie nielada; uprzedłaś nitkę, na której rajski ten ptak się uwiązał. — Jakoś, Adalbercie, nie patrzysz całkiem swobodnie! O cóż ci idzie? Co do mnie — jam zupełnie szczęśliwy; czegoś się tylko w marzeniach spodziewał, to widzę na jawie, i zdaje mi się, że marzę. Ach! teraz sen mój się skończył. Przeszłej nocy śniło mi się, że ci podałem moją rękę żelazną, a tyś ją trzymał tak mocno, że wyszła z zawiasów jakby złamana. Przeląknęłam się i to mię zbudziło. Szkoda, że nie śnił dalej, bo byłbym zobaczył, jak ty mi nową i żywą rękę przyprawiasz. — No, ale teraz czas ci odjeżdżać; koniecznie powinienes doprowadzić znów do porządku twój majątek i zamek. Dla przekłętego dworu zaniedbałeś i jedno i drugie. Zaraz zawołałam żony. Elżbieto!

Marya. Brat mój już się nie posiada z radości.

Weislungen. A jednak zemną równać się w tym nie może.

Götz. Będiesz miała śliczne mieszkanie.

Marya. Frankonia, mówią, kraina błogosławiona.

Weislungen. I śmiało mogę powiedzieć, że zamek mój leży w stroonie najpiękniejszej i najbardziej błogosławionej.

Götz. To prawda; mogę temu przyswiadczyć. Tu płynie Men, a od brzegów jego stopiowo wznosi się góra, okryta polami i winnicami. Na samym jej szczycie stoi wasz zamek. Potem rzeka zwraca się nagle po za skałę zamkową, a z okien wielkiej sali, wychodzących stromo na wodę, roztacza się widok w kilka mil na około.

Elżbieta wchodzi.

Elżbieta. Czego wam trzeba?

Götz. I ty masz do tego ręki przyłożyć i powiedzieć: Niech wam Bóg błogosławi! Oni po zaręczynach.

Elżbieta. Tak prędko!

Götz. Wszak można się było tego domysleć.

Elżbieta. Obyście zawsze tak za nią tęsknili jak dotąd, gdyście

się o nią starali! A potem! obyście tak byli szczęśliwi, jak ją zawsze kochać będziecie!

Weislungen. Amen! Nie pragnę innego szczęścia, tylko takiego

Götz. Narzeczony, droga żono, wybiera się w małą podróż, bo duża zmiana pociąga za sobą rozmaite drobniejsze. Przedewszystkiem usuwa się od dworu biskupa, by przyjaźń ta zwolna ostygła. Potem odbiera swoje dobra z rąk niewiernych dzierzawców. Dalej — ale chodź, siostró i ty chodź, Elżbieto! Zostawmy go teraz samego. Zapewne jego pachołek ma do niego tajemne zlecenia.

Weislungen. Żadnych takich, o którychbyście wy wiedzieć nie mogli.

Götz. Nie trzeba! — Frankonio i Szwabio! Spokrewniłyście się teraz więcej, niż kiedykolwiek. Oj! będziemyż odtąd książąt w ryzie trzymali! (Odchodzą wszyscy troje.)

Weislungen. Ojciec niebieski! Jakież Ty szczęście dajesz mnie niegodnemu? Nie wiem, czy moje serce znieść to potrafi. Jam był zależny od nędznych tych ludzi, a mnie się zdawało, że ja nimi kieruję; — zależny od wzroku książęcia, od pochwał czci pełnych, które rozlegały się w koło! Götz, drogi Götz! przez ciebie się na nowo narodził, a ty, Maryo, dokonywasz wemnie téj zmiany. Czuję się tak swobodnym, jak ptak na gałązce. W Bambergu noga moja już nie postanie; przerwę wszystkie te związki haniebne, które mię poniżały. Serce mi rośnie, a tu wcale nie chodzi o trudne ubieganie się za niedostępną wielkością. Zaprawdę, ten jedynie szczęśliwy i wielki, kto po to, by coś znaczył na świecie, nie potrzebuje ani sam słuchać drugich, ani drugim nie rozkazywać.

Franciszek wchodzi.

Franciszek. Bóg z wami, wielmożny panie! Przywiozłem wam tyle ukłonów, że nie wiem od którego zaczynać. Bamberg wraz z okręgiem dziesięciomilowym zasęłają wam tysiąc razy: Bóg z wami!

Weislungen. Witaj, Franciszku! Czy jeszcze przywiozłeś co więcej?

Franciszek. Wspominają was u dworu i wszędzie, że trudno i opowiedzieć.

Weislungen. To długo nie potrwa.

Franciszek. Póki życia waszego! a po śmierci waszej jaśniej zaświeci, niż złoczone litery na kamieniu grobowym. Jakże też utyskiwano nad waszym wypadkiem!

Weislungen. Co mówił biskup?

Franciszek. Tak był spragniony o wszystkiém dowiedzieć się, że bezustanną szybkością swych pytań nie zostawiał mi czasu na odpowiedzi. Wprawdzie mniej więcej był już uwiadomiony, bo Färber,

pachołek, który umknął z Haslachu, był u niego z tą wieścią. Ale wszystkie wiedzieć chciał szczegóły; troskliwie się dopytywał, czyście czasem nie ranni? Ja powiedziałem: — Cały, jak Bóg przykazał, od ciemienia aż do małego palca u nogi.

Weislingen. Cóż mówił o propozycjach?

Franciszek. Z razu na wszystko się zgadzał; chciał wydać pachółka i w dodatku jeszcze pieniądze, aby was tylko uwolnić. Skoro zaś się dowiedział, że i bez tego was mają wypuścić, a tylko słowo swoje macie dać w zamian za chłopca, koniecznie się uparł, żeby Berlichingowi dać czekać. Do was nadawał mi zleceń bez końca — ałem ja wszystko pozapominał. Było to długie kazanie na tekst: Bez Weislinga ja się obejść nie mogę.

Weislingen. Nauczy się chyba.

Franciszek. Co też, panie, mówicie? Powiedział: — Niechaj się śpieszy! Wszyscy na niego czekają!

Weislingen. Mogą poczekać. Ja tam nie jadę.

Franciszek. Wy tam nie jedziecie? Panie! Co się wam stało? Gdybyście to wiedzieli, co ja wiem! Gdybyście przez sen tylko to zobaczyli, co ja widziałem na jawie!

Weislingen. Cóż to z tobą się dzieje?

Franciszek. Na samo tylko wspomnienie odchodzę od siebie. Bamberg już nie jest Bambergiem; anioł w postaci kobiety przemienił go w przedsionek niebiański.

Weislingen. To już wszystko?

Franciszek. Klnę się, że zrobię się mnichem, jeśli ją zobaczycie i nie odejdziecie od zmysłów.

Weislingen. Któż to taki?

Franciszek. Adelhejda von Walldorff.

Weislingen. Ach, ona! Słyszałem już wiele o jej piękności.

Franciszek. Słyszeliście? To tak samo, jakby powiedzieć, żeście muzykę widzieli. Językowi niepodobna wyrazić linii jej wdzięków, skoro nawet oko w jej obecności samo sobie nie starczy.

Weislingen. Chybaś oszalał.

Franciszek. To bardzo być może. Kiedym ją ostatni raz widział, zmysły moje plątały się, jak u pijanego — albo raczej, uczułem w tę chwilę, co się dzieć musi z Świętymi Pańskimi na widok objawienia bożego. Wszystkie zmysły silniejsze, doskonalsze, pełniejsze, a jednak posługi z nich żadnej.

Weislingen. To dziwne.

Franciszek. Kiedym się żegnał z biskupem, ona siedziała przy nim. Grali w szachy. On był wielce łaskawy, podał mi rękę do pocałowania i nagadał mi dużo rzeczy, z których nic a nic nie słyszałem. Patrzałem bo na jego sąsiadkę, która wlepiła wzrok w szacho-

wnicę, jak gdyby przemyślała nad wymierzeniem wielkiego ciosu. Policzki i usta okalał wyraz pełnego wdzięku wyczekiwania! O! jakżebym chciał być owym z kości słoniowej królem szachowym! Na czole ję promieniała szlachetna uprzejmość, a od ciemnych ję splotów odbijała olśniewająco jasność ję oblicza i łona!

Weislingen. Tyś aż, widzę, wy kierował się na poetę.

Franciszek. A więc tak! Czuję w tęg chwili, co stanowi poetę: serce przepełnione jedném jedyném uczuciem! Gdy skończył biskup, a jam przed nim się skłonił, ona spojrzała na mnie i rzekła: — Odmnie także uklon, choć nie znam! Powiedz twojemu panu, żeby co prędzej przyjeżdżał, że nowych tu zastanie przyjaciół, a niechaj ich lekce nie waży, choć już dawnych ma tylu. — Chciałem coś odpowiedzieć, ale przejście z serca na język było zaszpuntowane; skłoniłem się. Byłbym wszystko oddał, co mam, gdyby mi wolno było ucałować koniuszcek małego ję palca! Kiedy tak stałem jeszcze, biskupowi zleciał pionek na ziemię; schyliłem się szybko po niego i podnosząc go dotknąłem rąbka ję sukni. We wszystkich żyłach uczułem wstrząśnienie i sam dotąd nie wiem, jak wyszedłem z pokoju.

Weislingen. Czy ję mąż także u dworu?

Franciszek. Od czterech już miesięcy jest wdową. Bawi w Bambergu, żeby się nieco rozerwać. Zobaczycie ją sami. Gdy spojrzysz na kogo, to jakby na niego świeciło słońce wiosenne.

Weislingen. Na mnieby to chyba nie zrobiło takiego wrażenia.

Franciszek. Powiedziano mi, że się wkrótce żenicie.

Weislingen. Chciałbym, żeby już było po ślubie. Ukochana moja Marya będzie błogosławieństwem mojego życia. Słodka ję dusza maluje się w błękitnych ję oczach. Czysta, jak anioł niebiański; sama tylko niewinność i miłość; da ona sercu mojemu szczęśliwość i spokój. Każ znieść moje rzeczy! i do domu co prędzej! Bambergu nie chcę już widzieć, choćby mię wzywał tam sam święty Idzi! (Odchodzi.)

Franciszek. Niechże Bóg broni! Nie traćmy nadziei! Marya piękna i miła; jeńcowi więc, a przytém choremu, trudno mieć za złe, że się w nią mógł zakochać. W ję oczach coś jest nakształt pociechy, coś przyjacielsko smętnego. Ale przy tobie, Adelhejdo, jest życie, zapał, odwaga! Jabym — ale jestem szalony — a sprawiło to ję jedno spojrzenie. Pan mój musi do nię pojechać! Ja muszę! A tam, w nią się wpatrując, albo rozum odzyskam, albo oszaleję do reszty.

AKT DRUGI.

B A M B E R G.

S a l a.

Biskup i Adelhejda grają w szachy. Liebetraut z cytrą. W okolo niego przy kominku kobiety, dworzanie.

Liebetraut (gra i śpiewa).

Zbrojny w łuk i strzały swoje,
Z gorejącą żagwią w dłoni,
Na zwyciężkie śpiesząc boje,
Kupido po świecie goni.

Dalój, naprzód! Leci śmiały,
Szumią z wiatrem skrzydła skore,
Brzęczą mu w kołczanie strzały,
Oko ogniem męztwa gore.

A tu każdą pierś, ach biada!
Znalazł całkiem obnażoną;
Każda z dobrej woli rada
Przyjąć go na swoje łono.

Na nic łuki i kołczany;
Rzucił w ogień swoje groty,
I cackany, i lulany,
Zasnął słodko śród pieszczoty.

Adelhejda. Nie uważacie na grę. Szach królowi!

Biskup. Jest jeszcze ratunek.

Adelhejda. Nie na długo. Szach królowi!

Liebetraut. Gdybym był wielkim panem, jabym w tę grę nigdy nie grał, nawet zabroniłbym jęj u dworu i wszędzie.

Adelhejda. Jest racya; to kamień próbiereczy dla mózgu.

Liebetraut. Nie dlatego! Wolałbym jęk dzwonów grobowych albo ptaków złowróźbnych, wolałbym warczenie tego psa, który się nazywa Sumieniem, wolałbym je słyszeć we śnie najgłębszym, niż laufrow, skoczków i inne podobne bestye wywołujące ciągle i wiecznie: Szach królowi!

Biskup. Komuby to przyszło na myśl!

Liebetraut. Takiemu naprzykład, co miękkie, a ma twarde sumienie, bo to najczęściej przytrafia się razem. Mówią, że szachy, to gra

królewska, że wynaleziono je dla jakiegoś monarchy, który wynalazcę wynagrodził z hojnością trudną do uwierzenia. Jeżeli to prawda, to jakbym patrzył na niego: — małoletni rozumem czy wiekiem, pod opieką swojej żony lub matki, młeczne włosy pod nosem, a lniane na głowie, giętki jak młodziutka latorośl wierzbowa, a lubiący grać warcaby z damami, nie przez namiętność, broń Boże! tylko tak, dla zabawy. Jego guwerner, zanadto czynny, aby mógł być uczonym, na dworaka zbyt nieruchawy, wynalazł *in usum delphini* tę grę tak do jego królewskiej mości podobną — i tak dalej do końca.

Adelhejda. Mat! Powinniście, Liebetraucie, wypełniać szczyrby w naszych księgach dziejowych. (Wstają.)

Liebetraut. Szczyrby w naszych rejestrach rodowych, to mogłoby być korzystniejsz. Odkąd zasługi naszych przodków służą na tenże użytek, co ich portrety, to jest na przyozdobienie pustych ścian naszych komnat, z pewnością byłby z tego niezły zarobek.

Biskup. Mówiliście, że nie chce przyjeżdżać!

Adelhejda. Proszę was, już o tём nie myślcie.

Biskup. Co w tём być może?

Liebetraut. Co? Powody zliczyć można, jak paciorki w różańcu. Popadł w coś podobnego do skruchy, z którejbym go łatwo wyleczył.

Biskup. Zróbcie to! jedźcie do niego!

Liebetraut. Z jakim zleceniem?

Biskup. Z nieograniczoném. Niczego nie żałuj, jeśli go zdołasz sprowadzić.

Liebetraut. A wy, łaskawa pani, czy pozwalacie mi wspomnieć i o was?

Adelhejda. Czemu nie? aby ogłędnie.

Liebetraut. To sprawa niełatwa.

Adelhejda. Czy tak mało mnie znacie, czy też sami jesteście tak młodzi, żeby nie wiedzieć, w jakim tonie rozmawiać o mnie z Weislingiem?

Liebetraut. Chyba w tonie świstawki do wabienia przepiórek.

Adelhejda. Wy do rozumu nigdy już nie dojdziecie.

Liebetraut. Ach, pani, czy się kiedykolwiek do niego dochodzi?

Biskup. Idź już, idź! Bierz najlepszego konia ze stajni, dobierz sobie pachołków, a jego tutaj mi sprowadź!

Liebetraut. Jeżeli go nie sprowadzę, to powiecie, że stara baba, trudniąca się wygubianiem brodawek i piegów, lepiej zna się na sympaty odemnie.

Biskup. Co to pomoże! Berlichingen zupełnie go ujął. Jeżeli przyjedzie, to znów zechce odjechać.

Liebetraut. Zechce, rzecz jasna, — ale czy już potrafi! Uścisk

ręki książęcej i uśmiech pięknej kobiety! To nie na Weislinga, żeby się oparł. Śpieszę i łasce waszej polecam się.

Biskup. Szcześliwój podróży!

Adelhejda. Do zobaczenia! (Liebetrant odchodzi.)

Biskup. Skoro już tu będzie, resztę zdam na was.

Adelhejda. To znaczy, że ja mam na niego być lepem, który go dla was zatrzyma?

Biskup. Ale gdzież tam!

Adelhejda. A więc wabikiem?

Biskup. Nie, wabikiem będzie mu Liebetrant. Proszę was, nie odmawiajcie mi tego, czegoby mi zresztą nikt inny uczynić nie zdołał.

Adelhejda. Zobaczymy!

J A X T H A U S E N.

Hans von Selbitz; Götz.

Selbitz. Każdy wam to pochwali, żeście wypowiedzieli pokój Norymberczykom.

Götz. A! jużbym chyba tego nie przeniósł, żeby prędko im nie wypłacić się z długu. Rzecz niewątpliwa, oni-to zdradzili Bambergczykom mojego pachółka. Będą mnie oni pamiętać!

Selbitz. Od dawna już do was mają coś na wątróbce.

Götz. A ja do nich nawzajem; mnie wcale na rękę, że zaczepili.

Selbitz. Wolne miasta, jak świat światem, trzymały zawsze z klechami.

Götz. Wiedzą, co robią.

Selbitz. Zalejemy im też sadła za skórę.

Götz. Na was liczyłem. Dałby Bóg, żeby się nam nawinał sam burmistrz, z łańcuchem złotym na szyi; zdziwiłby się, przy całym swoim dowcipie.

Selbitz. Słyszałem, że Weislingen jest znowu po waszej stronie. Czy do was przystaje?

Götz. Jeszcze nie teraz; są powody, dla których jawnie jeszcze trzymać z nami nie może; jednak na czas jakiś i tego już dosyć, że nam nie jest przeciwny. Pop bez Weislinga tyle znaczy, co ornat bez popa.

Selbitz. Kiedyż wyruszymy?

Götz. Jutro albo pojutrze. Wkrótce kupcy bambergscy i norymbergscy wracać będą z jarmarku z Frankfurtu. Dobrą zdybiemy gratkę.

Selbitz. Daj Boże! (Odchodzi.)

B A M B E R G.

Pokój Adelhejdy.

Adelhejda, Pokojówka.

Adelhejda. Przyjechał, mówisz? Zaledwie mogę dać wiary.

Pokojówka. Gdybym sama go nie widziała, i ja bym powiedziała, że wzięę.

Adelhejda. Liebetraut zasłużył, żeby go biskup w złote ramki oprawił: dokazał bo arcydzieła.

Pokojówka. Widziałam go, jak miał wjeżdżać do zamku; siedział na dzielnym siwoszu. Przed samym mostem koń czegoś się przeląkł i nie chciał ruszyć się z miejsca. Lud zbiegł się po wszystkich ulicach, by go zobaczyć. Upór konia ich bawił. Zewsząd mu się kłaniano, a on się wszystkim odklaniał. Siedział obojętnie nie dbale, a rumaka, to głaskaniem, to groźbą, przywiódł nareszcie do tego, że wjechał do bramy, — za nim Liebetraut i kilku pacholków.

Adelhejda. Jakże ci się podobał?

Pokojówka. Jak mało który mężczyzna. Podobny do cesarza (wskazuje na portret Maksymiliana), jak gdyby był jego synem. Nos tylko ma cokolwiek drobniejszy, ale oczy piwne tak samo pocziwie, jak u tamtego, — tak samo piękne blond włosy, — a figura jak utoczona. Jakiś pół smętny wyraz na twarzy — nie wiem dlaczego — ale nadzwyczaj mi się podobał!

Adelhejda. Ciekawam go zobaczyć.

Pokojówka. Byłby z niego mąż dla wielmożnej pani.

Adelhejda. Bredzisz!

Pokojówka. Małoż bredni się sprawdza na świecie?

(Wchodzi Liebetraut.)

Liebetraut. I cóż, miłościwa pani? Co ja wart?

Adelhejda. Żeby żona przypawiła ci rogi! Bo sądząc według tego, jak ci się udało, widać że z drogi powinności musiałeś sprowadzić pocziwą niewiastę już niejednego sąsiada.

Liebetraut. Chyba żem ją wprowadzał na drogę obowiązku, to jest na łożo małżeńskie.

Adelhejda. Jakże sobie począłeś?

Liebetraut. Wam aż nadto dobrze wiadomo, jak się łowią kwicoły; pocóżbym jeszcze was uczył? Z początku udawałem, jak gdyby o jego postępowaniu nie mi nie było wiadomo i jakbym całkiem go nie rozumiał; postawiłem przez to panicza od razu w niekorzystnej

pozycyi, że sam wszystko musiał mi opowiadać. Ja naturalnie zapamiętywałem się na tę sprawę z innéj zupełnie strony — niby-to nie zdawało mi się — niby nie pojmowałem — i temu podobnie. Potém mówiłem mu o Bambergu, piąte przez dziesiąte, o rzeczach ważnych i o drobiazgach, — rozbudzałem w nim pewne wspomnienia, a zajmwszy tak wyobraźnię, istotnie w niejednym znów miejscu zawiązywałem osnowę, która zdawała się na dobre przerwana. Sam nie wiedział, co się z nim dzieje, — coś jakby ciągnęło go znów do Bambergu, — chciał, niby nie chcący. Otóż kiedy wchodził tak w siebie i usiłował się tę rozwikłać, przez co zanadto był sam sobą zajęty, by mógł dać na siebie baczenie, ja na szyję zarzuciłem mu linę, ukreconą z trzech potężnych postronków, bo z pochlebstwa, z łaski książąt i miłości kobiecój, i tak go tutaj przywlokłem.

Adelhejda. Cóżś powiedział mu o mnie?

Liebetraut. Nic, tylko prawdę: — że z powodu swoich majątków macie przykrości — żeście, znając jego wpływ u cesarza, mieli nadzieję, iż on na to wszystko poradzi.

Adelhejda. Dobrze!

Liebetraut. Biskup idzie z nim tutaj.

Adelhejda. Czekam ich — (*Liebetraut odchodzi*) z sercem, z jakim nieczęsto czekałam czyich odwiedzin.

W GÓRACH SPESSARTU.

Berlichingen; Selbitz; Jerzy w zbroi jeźdźca.

Götz. Nie zastałeś go, Jerzy?

Jerzy. Dniem wprzód z Liebetautem i z dwojgiem pachołków wyjechał był do Bambergu.

Götz. Nie rozumiem, coby to mogło znaczyć.

Selbitz. Ja rozumiem. Zgoda wasza była zbyt nagłą, aby mogła być trwałą. Z Liebetauta wierutny filut; dał mu się obalamucić.

Götz. Czy sądzisz, że dopuści się wiarołomstwa?

Selbitz. Pierwszy krok już zrobiony.

Götz. Ja nie myślę. Kto wie, na co mu było potrzeba jeździć do domu? Winni mu jeszcze pieniądze; miéjmy dobrą otuchę.

Selbitz. Dałby Bóg, żeby na nią zasłużył i żeby to robił, co dobre.

Götz. Wiesz? mnie przychodzi na myśl użyć podstępu! Damy Jerzemu glejt i kapotę, zabraną bamberskiemu jeźdźcowi; niech jedzie do Bambergu i niech zobaczy, jak rzeczy tam stoją.

Jerzy. Długo za czémś podobnym tęskniłem.

Götz. To pierwsza twoja wyprawa. Ostróżnym bądź, chłopcze! Żałby mi było, gdyby się tobie miało przytrafić co złego.

Jerzy. Bądźcie spokojni! Mnie to nic nie przeszkadza, choćby się nie wiem ilu koło mnie kręciło; dla mnie to samo, jak gdyby to były myszy i szczury. (Odchodzi.)

B A M B E R G.

Biskup; Weislingen.

Biskup. Nie dasz się już uprosić?

Weislingen. Nie żądamie odemnie, abym złamał przysięgę.

Biskup. Mógłbym być żądać, żebyś ję nie wykonywał. Co toba powodowało? Czyliżbym ja i bez tego nie potrafił cię wyswobodzić? Czy u cesarza tak mało już znaczę?

Weislingen. Stało się; darujcie mi, jeżeli możecie.

Biskup. Nie pojmuję, co choć z daleka mogło cię znaglić do tego kroku! Mnie się wyrzekać? Czyż nie było innych jeszcze setnych sposobów, by wolność odzyskać? Alboż nie trzymamy jego pacholka? Alboż byłbym żałował pieniędzy, aby go uspokoić? Nasze zamiary co do niego i jego bandy byłyby dlatego szły swoją drogą. Ach! zapominam, że mówię do jego przyjaciela, który teraz przeciwko mnie działać będzie, i łatwo zburzyć może te miny, jakie sam wykopywał poprzednio.

Weislingen. Miłościwy panie!

Biskup. A jednak — kiedy znów spojrzę na ciebie, a ty do mnie przemówisz — nie, to być nie może! to niepodobna!

Weislingen. Żegnam was, miłościwy panie!

Biskup. Daję ci moje błogosławieństwo. Dawniej, kiedyś odchodził, mawiałem ci: Do widzenia! A teraz! — Daj Boże, żebyśmy się nigdy już nie zobaczyli!

Weislingen. Niejedno może się zmienić.

Biskup. Na nieszczęście za wiele już się zmieniło. Może ujrzę cię jeszcze kiedy jako wroga przed moimi murami, pustoszącego te pola, które tobie zawdzięczają obecnie stan swój kwitnący.

Weislingen. O! nigdy!

Biskup. Nie mów tak: nigdy! Stany świeckie, moi zacni sąsiedzi, wszyscy są mi przeciwni. Póki ciebie miałem — Idźcie, Weislingu! Nic wam więcej nie powiem. Dużo rzeczy przez was poszło na nice. Idźcie!

Weislingen. A ja nie wiem, co na to wam odpowiedzieć. (*Biskup odchodzi.*)

Wchodzi Franciszek.

Franciszek. Adelhejda was czeka. Nie czuje się zdrową. A jednak chce się z wami pożegnać.

Weislingen. Chodź.

Franciszek. Czyż odjeżdżamy na prawdę?

Weislingen. Jeszcze dziś wieczór.

Franciszek. Dla mnie to, jak gdybym odejść miał z tego świata.

Weislingen. Dla mnie tak samo — a zarazem jakbym nie wiedział, dokąd odchodzę.

Pokój Adelhejdy.

Adelhejda ; Pokojówka.

Pokojówka. Zkąd na twarzy mej pani ta bladeść?

Adelhejda. Nie kocham go, a chciałabym jednak, żeby się został. Czy wiesz? żyłbym z nim mogła, chociaż nie pragnęłabym go sobie za męża.

Pokojówka. Czy sądzicie, że on odjedzie?

Adelhejda. Poszedł się pożegnać z biskupem.

Pokojówka. Potem jedną jeszcze będzie miał ciężką przeprawę.

Adelhejda. Jaką?

Pokojówka. Niby wielmożna pani o tém nie wie! Serce jego złowione na wędkę, a jeśli gwałtem zechce je wyrwać, to krwawić mu się będzie bez końca. (Odchodzi.)

Weislingen wchodzi.

Weislingen. Mówiono mi, pani, że jesteście cierpiącą.

Adelhejda. Cóż was to może obchodzić? Opuszczacie nas i opuszczacie na zawsze. Wam wszystko jedno, czy żyć będziemy, czy też umrzemy.

Weislingen. Źle mnie sądzicie.

Adelhejda. Tak was sędzę, jakim sami się wydajecie.

Weislingen. Pozory mylą.

Adelhejda. Więc jesteście kameleonem?

Weislingen. O, gdybyście czytać umieli w mem sercu!

Adelhejda. Wyczytałabym piękne rzeczy.

Weislingen. Niezawodnie! Znaleźlibyście w niem własny swój obraz.

Adelhejda. Chyba gdzie w jakim kącie przy portretach rodzin od dawna wygasłych. Proszę was, pamiętajcie, że do mnie mówicie. Fałszywe słówka co najwyżej tam mieć mogą znaczenie, gdzie za niemi chowają się czyny. Biedna-to rola osoby zamaskowanej, którą

każdy na pierwsze wejrzenie poznaje. Wy nie zapieracie się waszego postępowania, a mówicie w sensie przeciwnym; jakże tu o was sądzić?

Weislingen. Jak wasza wola. Tak już umęczony tém jestem, czém jestem, że nie stoję o to, za co inni mnie wezmą.

Adelhejda. Przyszliście się pożegnać.

Weislingen. Pozwólcie ucałować wam rączkę i pożegnać się z wami. Przypomnieliście mi, poco przyszedłem! Nie uważałem... przeskadzam.

Adelhejda. Nie zrozumieliście mnie: — chciałam wam tylko ułatwić odejście, kiedy już odejść chcecie koniecznie.

Weislingen. Powiedźcie raczej, że muszę. Gdyby nie obowiązek rycerski, świętość danego słowa —

Adelhejda. Dajcie z tém pokój! To dobre dla panien, które czytają powieści o Amadysie i marzą o takim na męża. Obowiązek rycerski! Dzieciństwo!

Weislingen. Wy tak nie myślicie na seryo.

Adelhejda. Gotowam przysiąc, że udajecie! Cóżecie takiego przyrzekli? I komu? Dotrzymywać człowiekowi wierności, który zapomina o niej względem cesarza i państwa, i to właśnie w tej chwili, kiedy biorąc was do niewoli, sam ściągnął na siebie banicję! Dotrzymywać wierności, która z pewnością bardziej nie wiąże, niż każda niesłuszną, wymuszona przysięga! Czyliż prawa nasze nie zwalniają z przysięg tego rodzaju? Wmówcie to dzieciom, które wierzą w upiory! Ale w tém tkwi coś innego! Chcieć być wrogiem państwa, wrogiem spokoju i pomyślności publicznej! Wrogiem cesarza! Towarzyszem rabusia! Ty, Weislingu, z miękkim twém sercem!

Weislingen. Gdybyście go znali —

Adelhejda. Oddałabym mu sprawiedliwość. Duszę ma nieugiętą i wzniosłą. Ale właśnie dlatego biada tobie, Weislingu! Łudź się tém, że będziesz mu towarzyszem! Daj się jemu owładnąć! Tyś uprzejmy, usługny —

Weislingen. I on nim jest również.

Adelhejda. Lecz ty ustępujesz — a on? Znienacka cię porwie; staniesz się niewolnikiem szlachcica, kiedy mógłbyś być panem nad książętami. Ale to okrucieństwo, obrzydzać ci przyszłe twe stanowisko.

Weislingen. Gdybyście wiedzieli, jak serdecznie się zemną obchodził!

Adelhejda. Serdecznie! I to liczysz mu za zasługę? Mógł-że inaczej? i czy byłbyś co stracił, gdyby się nieprzyjaznym okazał? Ja owszem byłabym z tego rada. Taki jak on zuchwalec —

Weislingen. Mówicie o swoim wrogu.

Adelhejda. Mówię za waszą wolnością. Chociaż nie wiem doprawdy, po co się nią tak zajmuję. Bywajcie zdrowi!

Weislingen. Pozwólcie mi — jeszcze chwilę! (Bierze ją za rękę i milczy.)

Adelhejda. Czy macie co jeszcze do powiedzenia?

Weislingen. — — Muszę odjeżdżać.

Adelhejda. A więc żegnam.

Weislingen. O, pani! — nie mogę!

Adelhejda. Musicie!

Weislingen. Czy to już ostatnie wasze spojrzenie?

Adelhejda. Idźcie! jestem słaba, bardzo nie w porę.

Weislingen. Nie pogładajcie tak na mnie!

Adelhejda. Ty chcesz być naszym wrogiem, a my się wdzięczyć mamy do ciebie? Odejdź!

Weislingen. Adelhejdo!

Adelhejda. Nienawidzę was!

Franciszek wchodzi.

Franciszek. Panie! Biskup was prosi.

Adelhejda. Idźcie! odejdźcie!

Franciszek. Prosi, żebyście przyszli co prędzej.

Weislingen. Nie żegnam się; jeszcze się zobaczymy. (Odchodzi.)

Adelhejda. Zobaczymy! Nie tak to łatwo. Małgorzato, jeżeli powróci, nie wpuszczaj go! Powiesz żem słaba, że głowa mię boli, żem się zdrzęmnęła — nie wpuszczaj! Jeśli jest jeszcze sposób na niego, to ten chyba tylko jedyny. (Odchodzi.)

Przedpokój.

Weislingen; Franciszek.

Weislingen. Nie chce mię przyjąć?

Franciszek. Noc nadchodzi; czy konie kulbaczyć?

Weislingen. Nie chce mię przyjąć?

Franciszek. Na kiedy każecie, żeby konie były gotowe?

Weislingen. Już teraz za późno! Dziś zostajemy.

Franciszek. Chwała Bogu! (Odchodzi.)

Weislingen. Zostaję! Miějmy się na baczności! Pokusa jest wielka. Kiedym wjeźdżał do bramy zamkowej, koń wierzgnął; snać mój duch opiekuńczy stanął mu w poprzek, bo wiedział, jakie tu czekają mnie niebezpieczeństwa. — Jednakże nie godzi się, abym spraw licznych biskupa, którem pozostawił niezalaławione, przynajmniej tak nie urządził, żeby następca mój mógł trafić z niemi do ładu. Wszystko

to mogę uczynić bez szkody dla Berlichinga i dla naszej umowy. Bo zatrzymać się nie dam.—Zawsze, prawda, byłoby lepiej, gdybym nie był przyjechał. Ale odjadę — jutro albo pojutrze! (Odchodzi.)

W GÓRACH SPESSARTU.

Götz ; Selbitz ; Jerzy.

Selbitz. I cóż? Stało się, jak przepowiedziałem.

Götz. Nie! o nie!

Jerzy. Wiercie mi, mówię prawdę! Uczyniłem, jakście mi przykazali, — wziąłem kapotę i znak bamberskiego jeźdźca, i żeby choć zarobić sobie na strawę, przeprowadziłem do Bamberga chłopów z Reineku.

Selbitz. W twojem przebraniu? Toby ci mogło być wyjść na złe.

Jerzy. Teraz mi się samemu tak widzi. Ale jeździec, który zastanawia się z góry, daleko nie zajdzie. W Bambergu zaraz w oberży usłyszałem, jak opowiadano, że się Weislingen z biskupem pogodził; dużo nawet mówiono o jego małżeństwie z wdową von Walldorf.

Götz. Gadający!

Jerzy. Widziałem, jak ją prowadził do stołu. Piękna jest, jakem żywy! Wszyscyśmy się kłaniali; ona dziękowała, on kiwał głową i zdawał się być w wyborném usposobieniu. Kiedy tak przechodzili, słyhać było szepty pomiędzy ludem: Co to za piękna para!

Götz. To wszystko być może.

Jerzy. Słuchajcie dalej! Gdy nazajutrz wychodził na mszę, jam na niego czatował. Sam jeden był z jakimś chłopcem. Przy schodach na dole przystąpiłem do niego i rzekłem po cichu: — Mam do was słówko od Berlichinga. Struchlał; na twarzy jego malowało się wyznanie przestępstwa. — Zaledwie miał tyle odwagi, żeby spojrzeć mi w oczy, mnie, który jestem tylko lichym jeźdźcem, nie więcej.

Selbitz. To dlatego, że jego sumienie jeszcze jest lichsze.

Jerzy. Tyś z Bamberga? — zagadnął mię. — Przynoszę wam ukłon od rycerza Berlichinga, odrzekłem, i mam was zapytać... — Jutro raniutko, przerwał, przyjdź do mojej komnaty; tam pogadamy.

Götz. I cóż? czy poszedłeś?

Jerzy. A jakże, i długo, bardzo długo w przedpokoju czekać musiałem. Wystrojeni w jedwabie paziowie przypatrywali mi się z przodu i z tyłu. Jam sobie myślał: oglądajcie wy, ile chcecie! — Nareszcie mnie kazał przywołać; zdawał się czegoś złym, ale dla mnie było to wszystko jedno. Przystąpiłem do niego i powtórzyłem

wasze zlecenie. Udawał, że srodze jest zagniewany, jak ten co nie ma odwagi, a nie chce się z tém wyjawić. Dziwiło go, że mu przez pacholka robicie wymówki. Mnie to obeszło. Odpowiedziałem mu, że na świecie dwoiści tylko są ludzie: poczciwi i łotry, a ja służę Götzowi von Berlichingen. Dopiero on zaczął gadać, i trzy po trzy plótł różne rzeczy, których sensem to niby być miało, żeście wy go znienacka podeszli, że wam do niczego nie obowiązany, i że nie chce mieć z wami wspólnego.

Götz. I to wszystko słyszałeś z własnych ust jego?

Franciszek. Na tém jeszcze nie koniec. Potém mi groził —

Götz. Dosyć już tego! Więc i on już stracony! Wiara i zaufanie znów mnie zawiodły. Biedna Maryo! Jakże ję o tém powiem!

Selbitz. Wolałbym stracić drugą nogę, niż być takim hunewotem! (Odchodzi.)

B A M B E R G.

Adelhejda; Weislingen.

Adelhejda. Czas ogromnie mi zaczyna się dłużyć; do gadania nie mam ochoty, a grać z wami się wstydzę. Oj nudo! tyś gorsza od febry!

Weislingen. Więc już wam się sprzykrzyłem?

Adelhejda. Nie tyle wy, ile wasza obecność. Byłoby lepiej, gdybyście byli odjechali, dokądście chcieli, i gdybyśmy was nie zatrzymywali.

Weislingen. Otóż i taka jest łaska kobiet! Najprzód z ciepłem matczyném wysiaduje nasze najmilsze nadzieje; a potém, niby kokoszka niestała, rzuca swe gniazdo, i tworzące się już potomstwo zostawia na śmierć i zgniliznę.

Adelhejda. Jenó wy łajcie kobiety! Gracz nieprzezorny drze karty i gryzie, że były niewinną przyczyną jego przegranej. Niech ja za to opowiem wam coś o mężczyznach. A wy czémże jesteście, żeby mówić o zmienności niewieści? wy, którzy rzadko kiedy bywacie tém, czém być chcecie, — a nigdy tém, czémbyście powinni! Królowie w szatach świętecznych, którym zazdrości pospółstwo. Coby dała za to jaka sławetna krawcowa, gdyby miała na szyi sznur pereł od rąbka waszój odzieży, który pogardliwie noga wasza odtrąca.

Weislingen. Mówicie z goryczą.

Adelhejda. To druga zwrotka waszój piosenki. Wprzód nim was poznałam, Weislingu, byłam ową krawcową. Wieść stujęczyna, bynajmniej w tém nie przesadzam, wysławiała was z taką szarlataneryą, że nie tała przed sobą życzenia: O, gdyby mi się udało ujrzeć

tego feniksa, tę kwintessencję rodu męzkiego! Życzenie moje spełniło się.

Weislingen. A feniks okazał się najzwyczajniejszym kogutem.

Adelhejda. Owszem, Weislingu; zajęłam się wami.

Weislingen. Tak się przynajmniej zdawało —

Adelhejda. I tak było w istocie; bo w samą rzecz przewyższaliście waszą sławę. Gmin ceni tylko odbłask zasługi. A ponieważ mam w ogóle zwyczaj, że zastanawiać się nie lubię nad temi, którym jestem życzliwą, więc żyliśmy obok siebie czas jakiś — — czułam, że mi czegoś w was nie dostaje, alem sama nie wiedziała, o co mi chodzi. Aż naraz mi otworzyły się oczy. Zamiast człowieka czynnego, który ożywiał sprawy całego księstwa, nie zapominającego przytém ani o swojej sławie, ani o sobie, — zamiast tego, który na niezliczonych i najeżonych trudnościach zamiarach wzniósł się był pod obłoki; — cóż ujrzałam? kwękającego, jak schorzały poeta, melancholijnego jak pulchne dziewczątko, gnuśniejszego niż stary kawaler. Z początku przypisywałam to wypadkowi, który świeżo jeszcze wam ciążył na sercu — tłumaczyłam was nawet, jak mogłam najlepiej. Teraz jednak, kiedy z dnia na dzień zdaje się z wami być gorzej, chyba wybaczenie za cofnę znów moją skłonność. Wy i tak do niej nie mieliście prawa; darowałam ją na całe życie komu innemu, a on wam jej nie mógł odstąpić.

Weislingen. A więc puszczajcie mnie!

Adelhejda. Nie prędjéj, aż już wszelka nadzieja będzie stracona. W podobnych razach samotność bywa zbyt niebezpieczną. — Oj, wy biedaku! Jesteście tak skrzywieni, jak człowiek, któremu sprzeniewierzyła się pierwsza kochanka, — ale właśnie dlatego poprawa jest jeszcze możliwą. Podajcie mi rękę i nie gniewajcie się o to, com wam powiedziała przez miłość.

Weislingen. O, gdybyś ty mogła mnie kochać, gdybyś wrzucić mój namiętności mogła udzielić choć kropelkę ochłody! Twoje wymówki, Adelhejdo, są niesprawiedliwe. Gdybyś domyślała się setnej tylko tego cząsteczki, co przez cały ten czas wemnie się burzy, nie byłabyś szarpała mną tak niemiłosiernie, raz niby uprzejmie, to znów z obojętnością albo pogardą. — Ty się uśmiechasz? — Niemało na to potrzeba czasu, chcąc po takim kroku niebacznym wewnętrzny znowu spokój odzyskać. Mam działać przeciwko temu, którego pamięć w mém przywiązaniu jest jeszcze tak świeżą i żywą!

Adelhejda. Dziwny z ciebie człowiek, że tego kochasz, komu zazdrościsz! Zupełnie jakbyś w żywność zaopatrywał nieprzyjaciela.

Weislingen. Czuję ja dobrze, że tu nie ma co zwlekać. Donieśli mu już, że znów jestem czém byłem, a on nie omieszka przy pierwszej sposobności poszukać nad nami korzyści. Nie jesteśmy téż, Adelhejdo,

tak gnuśni, jak myślisz. Jeźdźcy nasi są liczniejsi i czujni, układy nasze postępują wciąż naprzód, a na sejmie w Augsburgu plany nasze zapewne dojrzeją.

Adelhejda. Czy wy tam jedziecie?

Weislingen. Ach, gdybym mógł choć odjeżdżać z nadzieją!

Adelhejda. Oj, wy niewierni! Zawsze wam znaków potrzeba i cudów! Idź, Weislingu, i dzieło twe dokończ! Interes biskupa, korzyść twoja i moja tak są z sobą związane, że, chociażby tylko dla samój polityki — —

Weislingen. Ty możesz teraz żartować?

Adelhejda. Ja nie żartuję. Dobra moje są w posiadaniu dumnego księcia, — do twoich wkrótce zapewne Götz się przyczepi, i jeżeli nie będziemy z sobą trzymali, jak nasi wrogowie, a cesarza na naszą stronę nie przeciagniemy, będziemy zgubieni.

Weislingen. Ja się nie boję. Większa część książąt podziela nasze usposobienie. Cesarz żąda pomocy przeciw Turkowi, słusznie więc, żeby i on nam pomagał. Jakaż to będzie rozkosz, gdy mi się uda majątek twój wyswobodzić od zuchwałego nieprzyjaciela, w Szwabii zmusić do spoczynku niespokojne umysły, przywrócić spokój w biskupstwie i wszędzie. A potem — ?

Adelhejda. Każdy dzień prowadzi za sobą swego następcę, a przyszłość zależna od losu.

Weislingen. Ale przedewszystkiēm chcieć trzeba nam samym.

Adelhejda. Toż my przecie chcemy.

Weislingen. Czy naprawdę?

Adelhejda. Ależ tak! Tylko idźcie!

Weislingen. O, czarodziejko!

O B E R Ź A.

Wesele chłopskie. Obok słyszać tańce i muzykę.

Ojciec panny młodej, Götz i Selbitz przy stole; do nich przystępuje Pan młody.

Götz. Coście najmędrszego mogli uczynić, żeście spór wasz tak szczęśliwie zakończyli weseiem.

Ojciec. Lepiej, niż się mogłem spodziewać. Człowiek w zgodzie z sąsiadem, a przytēm i spokojny o córkę.

Pan młody. A ja w posiadaniu kawałka gruntu, o któryśmy się spierali, i prócz tego z całej wsi najładniejsza dziewczucha. Szkoda, żeście prędzej się zgodzić nie chcieli.

Götz. Czy proces trwał długo?

Ojciec. Do ósmiu lat. Chybabym wolał, niechby mnie dwa razy tyle czasu febra wytrzęsła, jak gdybym tę sprawę miał rozpoczynać na nowo. Trudno uwierzyć, co to za szarpanina, póki się prawie gwałtem tym dziadom nie wydrze wyroku; — a potem co z niego? Niech djabli porwą assessora Sapupi! przekłete czarne Włosisko!

Pan młody. A tak, to mi sztuczka! Byłem-ci u niego dwa razy.

Ojciec. A ja aż trzy. I proszę wielmożnych panów, — nareszcie już tedy dają nam wyrok, ale taki, w którym moja racya akurat taka, jak jego, a jego taka jak moja; a człowiek jeno stoi z rozdziawioną gębą i nie wie co robić. Aż przecie przyszło mi Boskie natchnienie, żem oddał mu oto córkę i z nią kawał ten roli.

Götz (pije). Na dobrą zgodę w przyszłości!

Ojciec. Daj Boże! Ale niechby się tam nie wiedzieć jak działo, prawować się już póki życia nie będę. Ile to kosztuje pieniędzy! Co który pan prokurator głową wam kiwnie, ty bratku za to płać!

Selbitz. Przecież cesarz posłał tam co roku swoje kommissye.

Ojciec. Tego zupełnie nie znać. Wyłowili mi niejednego pięknego talarka. Ciągłe tylko rękę trzymaj w kieszeni!

Götz. Co też wy mówicie!

Ojciec. O, każdy tam łapy nadstawia. Sam assessor, niech mu Pan Bóg tego nie pamięta! zabrał mi ośmnaście czerwoncew.

Pan młody. Kto taki?

Ojciec. A któż inny, jeśli nie ten Sapupi?

Götz. To niegodziwiec.

Ojciec. Ehe! kazał dać sobie dwadzieścia. Kiedym już je wyliczył, w pałacyku w ogrodzie, w dużej téj sali gdzie wszystko ino się świeci, z żalu mało mi serce nie pękło. Bo człowiek z łaski Boskiej gospodarstwo ma niezłe, ale zkądże ma się brać gotowizna? Takem stał i sam nie wiedziałem, co wemnie się działo. Ani szeląga na drogę już nie miałem przy duszy. Nareszcie myślę scbie: — Nie ma co! trzeba śmiało! — i powiedziałem mu wszystko. On, jak zobaczył, że nóż mam na gardle, rzucił mi dwa czerwonce z moich dwudziestu, i kazał pójść precz.

Pan młody. To być nie może! Pan Sapupi?

Ojciec. A czegoż się dziwisz? Naturalnie, że nie kto inny!

Pan młody. A niech go djabeł porwie! Toć on i mnie zabrał piętnaście czerwoncew.

Ojciec. Do stu kaduków!

Selbitz. Słuchaj-no, Götz! A o nas mówią, że *my* rabusie!

Ojciec. Dlatego też wyrok tak wypadł koślawo. A to pies!

Götz. Nie powinniście mu tego darować.

Ojciec. A cóż my pocniemy?

Götz. Wybierzcie się do Spiry; właśnie tam zasiada kommissya. Podajcie skargę — oni będą musieli rzecz zbadać i dopomódz wam do odzyskania waszój własności.

Pan młody. A proszę łaski wielmożnych panów, czy nam się to uda?

Götz. Gdybym ja się mógł z nim rozprawić, tobym ręczył za skutek.

Selbitz. To pieniądz niemały; warto spróbować.

Götz. Ja nieraz dla większój bagateli puszczałem się w drogę.

Ojciec. Jakże myślisz?

Pan młody. A no, to idźmy! niech tam dzieje się wola Boża!

Jerzy wchodzi.

Jerzy. Jadą Norymbergezczy.

Götz. Gdzie?

Jerzy. Jeżeli się pomalutku wybierzem, zdybiemy ich w lesie między Berheim i Mühlbach.

Selbitz. Doskonale!

Götz. Chodźcie, dzieci! Bóg z wami, i niech nam wszystkim pomoże odzyskać co nasze!

Ojciec. Bóg zapłać! Czy wielmożni panowie nie chcą czekać wieczery?

Götz. Nie możemy. Bywajcie zdrowi!

A K T T R Z E C I.

A U G S B U R G.

O g r ó d.

Dwaj kupcy Norymbergscy.

Pierwszy kupiec. Stańmy tutaj, bo tędy cesarz będzie przechodził. Właśnie idzie długą aleją.

Drugi kupiec. Kto jest przy nim?

Pierwszy kupiec. Adalbert von Weislingen.

Drugi kupiec. Przyjaciół bamberskiego biskupa. To dobrze.

Pierwszy kupiec. Padniemy mu do nóg, a ja przemówię.

Drugi kupiec. Zgoda! Otóż i oni.

Cesarz; Weislingen.

Pierwszy kupiec. Coś patrzy pochmurno.

Cesarz. Jestem markotny, Weislingu, a gdy pamięcią cofnę się w przeszłość, o mało nie tracę otuchy! Tyle zamiarów wykonanych tylko w połowie, tyle całkiem niedoszłych! A to wszystko dlatego, że nie masz w cesarstwie tak drobnego książątka, któremuby więcej nie szło o jego kaprysy, niż o moje zamysły.

(Kupcy rzucają mu się do nóg.)

Kupiec. Najjaśniejszy panie! Najpotężniejszy monarcho!

Cesarz. Co wy za jedni? Czego wam trzeba?

Kupiec. Biedni kupcy z Norymbergi, poddani waszjej cesarskiej mości, i błagamy pomocy. Götz von Berlichingen z Hansem von Selbitz napadli w ziemi bamberskiej na trzydziestu z naszych, wracających z Frankfurtu z jarmarku, i wszystko nam zabrali do nogi. Prosimy waszjej cesarskiej mości o pomoc, gdyż inaczej będziemy zgubieni i chyba przyjdzie nam żebrać kawałka chleba.

Cesarz. Święty Boże! Święty Boże! Co to ma znaczyć? Jeden tylko jedną ma rękę, drugi ma jedną nogę! Gdybyż dopiero mieli po dwie ręce i po dwie nogi, cobyście wy poczęli?

Kupiec. Prosimy najpokorniej, żeby wasza cesarska mość raczył wejrzieć okiem litosnym na smutne nasze położenie.

Cesarz. A! ma się rozumieć! — Jeżeli kupiec straci wór z pieprzem, to już chyba całe państwo poruszyć; a niech-no zajdą takie sprawy, że cesarzowi i państwu dużo na tem zależy, że chodzi o królestwo, o księstwo, i Bóg wie o co jeszcze innego, to was nikt do posługi nie ściągnie.

Weislingen. Przychodźcie nie w porę. Idźcie i zabawcie tu jeszcze dni kilka!

Kupiec. Ścielemy się pod stopy. (O odchodzą.)

Cesarz. Znów nowe historye! Odrastają, jak głowy hydry.

Weislingen. A wytepić ich nie można, tylko ogniem i mieczem, i śmiałą jaką wyprawą.

Cesarz. Czy tak wam się zdaje?

Weislingen. Nie według mnie łatwiejszego, jeżeli tylko wasza cesarska mość zgodzi się z książętami co do innych kwestyj drobniejszych. Bo nie wszędzie już w Niemczech skarżą się na taki niepokój; tylko we Frankonii i w Szwabii tli się jeszcze od resztek zgubnej wojny domowej. Choć i tam niemało jest szlachty i wolnych, którzy tęsknią za spokojnością. Pozbywszy się raz tego Sickinga, Selbitza

i — — Götz, wnet się już doczekamy, że reszta sama przez się upadnie, bo oni to właśnie podtrzymują w motłochu ducha buntowniczego.

Cesarz. Jahym rad ich oszczędzać; oni szlachetni i mężni. Gdybym miał wyruszyć na wojnę, wziąłbym ich z sobą.

Weisligen. Byłoby do życzenia, żeby oddawna się nauczyli spełniać to, co każe im obowiązek. Zresztą rzecz niebezpieczna, za roboty powstańcze wynagradzać ich zaszczytami; boć oni właśnie tej cesarskiej względności i łaski tak ogromnie dotąd nadużywali, i nie prędkiej też się nam uda ich stronników poskromić, którzy w tej łasce pokładają całą nadzieję i ufność, pókąd ich w oczach całego świata nie zgnieciami i na zawsze im nie odbierzemy otuchy, iż kiedykolwiek znów mogą na wierzech wypłynąć.

Cesarz. Jesteście zatem za surowością?

Weisligen. Nie widzę innego środka, chcąc zażegnać tego ducha bezprawia, który całe prowincye ogarnia. Alboż tu już i owdzie nie odzywają się gorzkie skargi pomiędzy szlachtą, że ich poddani stawiają im opór, że się z niemi prawują i zagrażają uszczupleniem odwiecznego po przodkach zwierzchnictwa, tak iż najzgubniejszych obawiać się trzeba następstw?

Cesarz. Teraz byłaby dobra sposobność na Berlichinga z Selbitzem; nie chciałbym jednak, żeby im się stało co złego. Gdyby to ich można uwięzić, a potem zmusić do wykonania przysięgi, że spokojnie pozostaną w swych zamkach, i nie wydały się po za wskazaną granicę. Wystąpię z tém na najbliższem zebraniu.

Weisligen. Radosne, jednomyślne okrzyki zgody odpowiedzą na te słowa waszej cesarskiej mości.

J A X T H A U S E N.

Sickingen; Berlichingen.

Sickingen. Tak jest; przychodzę prosić o serce i rękę waszej szlachetnej siostry.

Götz. Ach, czemuż się nie zgłosiliście wcześniej? Trzeba wam wiedzieć, że Weisligen, będąc mym jeńcem, zyskał jej skłonność i oświadczył się o jej rękę, którą ja mu przyrzekłem. Wypuściłem ptaszka na wolność, a on teraz gardzi dłonią życzliwą, która go w biedzie karmiła. Buja gdzieś, i Bóg wie na jakim płocie szuka sobie dziś pożywienia.

Sickingen. Czy tak?

Götz. Nie inaczej.

Sickingen. A więc zerwał więzy podwójne. Nazwijcie to szczęściem, żeście z tym zdrajcą nie weszli w bliższe stosunki rodzinne.

Götz. Biedna dziewczyna! Siedzi teraz, płacze i modli się.

Sickingen. Postaramy się o to, żeby znów zanóciła.

Götz. Jako! Więceście gotowi żenić się z opuszczoną?

Sickingen. Wam obojgu przynosi to zaszczyt, i żeście dali się jemu oszukać. Czyż biedaczka dlatego, że pierwszy mężczyzna którego poznała był bezecnikiem, już zaraz ma pójść do klasztoru? Nie z tego! Ja przy tém obstaję, żeby była królową mych włości.

Götz. Mówię wam, że nie był jój obojętnym.

Sickingen. Czy nie przypuszczasz, że potrafię wyrugować z jój duszy pamięć takiego nędznika? Pójdziemy do niej! (Odchodzą.)

OBÓZ WOJSKA EGZEKUCYJNEGO.

Rotmistrz; Porucznicy.

Rotmistrz. Należy nam brać się ostrożnie do dzieła i oszczędzać waszych ludzi ile możności. Surowy też mamy rozkaz, żeby go zewsząd otoczyć i ująć koniecznie żywcem. A nie będzie to łatwo, bo któż zechce do niego przystąpić?

Pierwszy porucznik. Zapewne! On będzie się bronił, jak dzik rozjuszony. Zresztą nikomu z nas nie zrobił nigdy nic złego, więc się nikt nie pokwapi, żeby dla pięknych oczu cesarza narażać własne ręce i nogi.

Drugi porucznik. Byłoby hańbą, nie schwycić go. Niech-no ja raz tylko się do niego przyczepię, już on mi się nie wymknie.

Pierwszy porucznik. Tylko go czasem nie pochwycicie zębami, bo mógłby je wyrwać wam razem ze szczęką. Takich ludzi, mój piękny panie, nie łapie się jak zmykającego złodzieja.

Drugi porucznik. Zobaczymy!

Rotmistrz. Pismo nasze chyba już dostał. Nie zwlekając wyślijmy oddział, który będzie go obserwował.

Drugi porucznik. Pozwólcie, niech ja go prowadzę!

Rotmistrz. Wy nie znacie tutejszych okolic.

Drugi porucznik. Mam pachółka, który w tych stronach zrodzony i tu się wychował.

Rotmistrz. Jeśli tak, ja przeciwko temu nic nie mam. (Odchodzą.)

J A X T H A U S E N.

Sickingen (sam).

Sickingen. Wszystko idzie po myśli; z razu przy oświadczeniach moich była nieco zdumiona, i wpatrywała się we mnie, jak gdyby dobrze nie rozumiała; ręczę, że w myśli porównywała mnie ze swoim gagatkiem. Chwała Bogu, że się nie mam czego powstydić! Odpowiadała niewiele, i to nawet bez ładu; tém lepiej! Niech tam w niej czas jakiś się burzy. W pannach dotkniętych zmartwieniem miłosném, myśl o małżeństwie rychło dojrzewa.

Götz (wchodzi).

Sickingen. Jakież nowiny, bracie?

Götz. Wyjęty z pod prawa!

Sickingen. Co?

Götz. Ot, czytajcie piękne to pismo! Cesarz nakazał przeciw mnie egzekucyę, która ma mnie przygotować na strawę dla ptaków niebieskich i dla dzikiego zwierza leśnego.

Sickingen. Wprzód chyba na nich nadejdzie kolęj. A co? nadarzyłem się tu w samą porę.

Götz. Nie, Sickingen, wam trzeba odjeżdżać. Wielkie plany wasze mogłyby spełznąć na niczém, gdybyście tak owszem nie w porę wystąpili przeciw władzy najwyższej. Obok tego dla mnie nawet możecie stać się daleko pożyteczniejszym, gdy jawnie zemną nie będziecie trzymali. Cesarz was lubi, a co najgorszego spotkać mnie może, to chyba że mię uwiężą; wtenczas wstawiajcie się za mną i wydobądźcie mnie z biedy, w którą pomoc niewczesna mogłaby wtrącić nas obu. Bo i cóżby z tego wynikło? Teraz przeciw mnie jednemu swoich wysłali; gdyby się dowiedzieli, żeście wy przy mnie, przysłaliby więcej, a nam korzyść ztąd żadna. Cesarz siedzi przy źródle; toć ja już byłbym bezpowrotnie zgubionym, gdyby nie łatwiej ściągnąć kupę żołnierza, niżeli wpoić w nią odwagę i męstwo.

Sickingen. Cichaczem jednak przysłę wam z jaką dwudziestką jeźdźca.

Götz. I owszem! Jużem nawet po Selbitza wysłał Jerzego, a pachołków moich do sąsiedztwa wokoło. Skoro ludzie moi się zbiorą, kochany bracie, z nich będzie gromadka, jakiej wielu podobnych nie-jeden książę nie widział.

Sickingen. Zawsze w porównaniu z tamtymi będzie was mało.

Götz. Na całe stado baranów jednego wilka aż nadto.

Sickingen. Idzie o to, czy nie będą mieli dobrego pastucha.

Götz. Gadaj zdrów! To najemnicy, jeden w drugiego. A zresztą

najlepszy rycerz nie nigdy nie wskóra, jeżeli nie jest panem swoich czynności. Tak i zemną raz było, kiedym przyrzekł Falegrabi, że przeciw Konradowi Szotowi wyruszę; otóż wetknęli mi wtenczas jakiś arkusz z kancellaryi cesarskiej, jak się mam trzymać, jak jechać. Rzuciłem radcom ich świstek pod nogi i powiedziałem im bez ogródki, że się do tego nie zdam; ja tam wiedzieć nie mogę, co się jutro przytrafi, a u nich nie o tém nie napisano; mnie trzeba patrzeć na własne oczy, i widzieć samemu co robić wypada.

Sickingen. Szczęść Boże, bracie! Zaraz odjeżdżam i przysię ci co się na prędcie da zebrać.

Götz. Chodź jeszcze do żony i siostry! Zostawiłem je razem. Chciałbym, żebyś przed odjazdem dostał jój słowo. Potém przyslesz mi jeźdźców i wrócisz się potajemnie po Maryę, bo się lękam, że wkrótce mój zamek nie będzie już stosowném mieszkaniem dla kobiet.

Sickingen. Miějmy nadzieję. (Odchodzą.)

B A M B E R G.

Pokój Adelhejdy.

Adelhejda; Franciszek.

Adelhejda. Więc egzekucye obie już wyruszyły?

Franciszek. Tak jest, pani, a pana mojego spotyka to szczęście, że walczyć będzie przeciw waszym nieprzyjaciołom. I ja chciałem z nim zaraz się wybrać, chociaż tak usilnie ciągnie mnie do was. To téż teraz odjadę, aby prędko znów wrócić z wieścią radosną. Pan mój pozwolił.

Adelhejda. Cóż słyhać u niego?

Franciszek. Dobrój jest myśli. Zlecił mi ucałować wam rączkę.

Adelhejda. Bądź-że posłusznym! — Usta twoje są rozpalone.

Franciszek (na stronie, wskazując na serce). Tu pali mnie gorzój!
(Głośno.) Miłościwa pani, słudzy wasi najszcześliwszymi są ludźmi pod słońcem.

Adelhejda. Kto dowodzi przeciw Berlichingowi?

Franciszek. Von Sirau. Bywajcie zdrowa, droga, miłościwa pani! Muszę odjeżdżać. Nie zapominajcie o mnie!

Adelhejda. Trzeba żebyś co zjadł i wypił, żebyś trochę odpoczął.

Franciszek. Po co? Wszak was widziałem. Jużem ani głodny, ani zmęczony.

Adelhejda. Znam twoję wierność.

Franciszek. Ach, miłościwa pani!

Adelhejda. Ty tego nie wytrzymasz! Uspokój się! Posil się!

Franciszek. Tyle dobroci dla takiego biednego chłopca, jak ja!
(Odchodzi.)

Adelhejda. Aż łzy mu w oczach stanęły. Serdecznie go lubię. Tak gorąco i szczerze nikt mię jeszcze nie kochał. (Odchodzi.)

J A X T H A U S E N.

Götz; Jerzy.

Jerzy. Prosi, że się z wami sam chce rozmówić. Ja go nie znam; tęgi mężczyzna, — oczy ma czarne, ogniste.

Götz. Niech wejdzie!

Lerse wchodzi.

Götz. Witajcie! Czego wam trzeba?

Lerse. Nic nie żądam, tylko byście przyjęli ofiarę, jaką sam z siebie przynoszę; niewiele to wprawdzie, ale wszystko co mam.

Götz. Witam was, witam podwójnie, jako dzielnego człowieka, i to jeszcze w tych czasach, gdy się nie spodziewałem zyskać nowych przyjaciół, a raczej obawiałem lada chwila straty dawniejszych. Jak wasze nazwisko?

Lerse. Franciszek Lerse.

Götz. Dziękuję wam, żeście mnie poznali z zacnym człowiekiem.

Lerse. Jużem go raz wam przedstawiał, aleście mi wtenczas nie dziękowali.

Götz. Nie pomnę.

Lerse. Byłoby mi to przykro. Czy nie pamiętacie, jak przez przyjaźń dla Falcegrabi byliście przeciwnikiem Konrada Szota, i jakeście na zapusty wyruszyli do Hassfurt?

Götz. Jakżebym nie pamiętał?

Lerse. A to pamiętacie, jak pod którąś wioską przy drodze natrafiliście na oddział dwudziestu i pięciu jeźdźców?

Götz. Pamiętam, i owszem! Z początku sądziłem, że ich tylko dwunastu, i dlatego rozdzieliłem swoją gromadę, złożoną z szesnastu, na dwie równe połowy. Zatrzymałem się następnie tuż za stodołą, w tej myśli, żeby tamci mimo nas przeszli, bo wówczas miałem się posunąć za nimi, jak to z drugą połową moich ludzi było już umówione.

Lerse. Aleśmy was dojrżeli i weszliśmy na pagórek nad wioską. Wyście nadciągnawszy stanęli na dole, a my widząc, że do nas nie najeżdżacie, zjechaliśmy na dół.

Götz. Dopięrom się przekonał, że sam sobie piwa nawarzył. Dwudziestu i pięciu na ósmiu! Nie było co się namyslać. Erard Truchsess mi ubił pachołka; za to ja zsadził z konia jego samego. Gdyby się tak wszyscy trzymali, jak on i jeden z tych jego jeźdźców, byłoby chyba źle zemną i z moją gromadką.

Lerse. Ten jeździec, o którym mówicie —

Götz. Nigdy w życiu dzielniejszego nie widział. Dawał mi się we znaki nie żartem. Kiedy mnie się zdawało, że już go się pozbył, i chciał się zabierać do drugich, on znów uwijał się przy mnie i walił co się tylko mieściło. Przepłatał mi nawet naramiennik żelazny, tak że aż dyrdem krew popłynęła.

Lerse. Czy już się nie gniewacie na niego?

Götz. Trudno nawet powiedzieć, jak mi się owszem podobał.

Lerse. A więc mam nadzieję, że będziecie zemnie zadowoleni, bom ja na was samych pokazał, co umiem.

Götz. Toś ty owym jeźdźcem? A witaj-że, witaj! I niech-że kto powie, czy Maksymilian aby jednym podobnym pochwalić się może werbunkiem?

Lerse. Dziwi mię, żeście wprzód się nie domyslili.

Götz. Jakże mi mogło przyjść na myśl, że ten sam, który najgwałtowniej usiłował mnie zgniebić, przychodzi teraz ofiarować mi swoje usługi?

Lerse. Właśnie dlatego, panie! Od młodości służę na koniu i mierzyłem się z niejednym rycerzem. Kiedyśmy się z wami spotkali, uradowało mnie to niemało. Z nazwiska was znałem, a wtenczas poznałem także z osoby. Placu nie dotrzymałem, ale sami wiecie, że to nie przez tchórzostwo, bom ciągle się wracał. Jednym słowem, poznałem was, i od téj chwili postanowiłem was prosić, byście mnie do służby swojej przyjęli.

Götz. Czy na długo?

Lerse. Na rok. Płacy nie żądam.

Götz. O nie! Będziecie płatni, jak drudzy, nawet i wyżej, jako ten, który pod Remlinem tak dzielną dał mi pamiątkę.

Jerzy wchodzi.

Jerzy. Hans von Selbitz zasłał wam swoje ukłony. Jutro tu będzie w pięćdziesiąt ludzi.

Götz. Dobrze!

Jerzy. Nad rzeką ciągnie oddział cesarskich; zapewne, by was obserwować.

Götz. Ilu ich?

Jerzy. Będzie też z pięćdziesięciu.

Götz. Nie więcej? Chodź, Lerse, my ich poturbujemy; gdy Selbitz przyjedzie, niechaj zobaczy, że bez niego kawał roboty zrobiony.

Lerse. Będzie to niezły początek.

Götz. Dalej; i na koń! (Odchodzą.)

Las nad bagnem.

Dwóch jeźdźców spotyka się.

Pierwszy pachołek. A ty co tu robisz?

Drugi pachołek. Wyprosiłem się na urlop z potrzebą. Od wczorajszego ślepego alarmu coś wlało mi w kieszki, że zsiadać muszę z konia co chwila.

Pierwszy pachołek. Czy wasi ztąd blisko?

Drugi pachołek. O jakie pół mili za lasem.

Pierwszy pachołek. Jakżeś ty się tu dostał?

Drugi pachołek. Mój drogi, nie wydaj mnie! Chciałem wstąpić do wioski; może też dobrze mi zrobią ciepłe okłady na brzuchu. A ty zkąd teraz idziesz?

Pierwszy pachołek. Z najbliższego folwarku. Chodziłem po chleb i wino dla oficera.

Drugi pachołek. Oho! On sobie w waszych oczach będzie dogadzał, a wam każe suszyć! Dobry nam daje przykład!

Pierwszy pachołek. Wracaj zemną, nieponiu!

Drugi pachołek. Albo ja głupi! Niejeden jeszcze jest w waszój gromadzie, coby chętnie nawet i suszył, gdyby tak jak ja był z daleka.

Pierwszy pachołek. Czy słyszysz? Jacys na koniach!

Drugi pachołek. O dla Boga!

Pierwszy pachołek. Ja wleżę na drzewo.

Drugi pachołek. A ja ukryję się w tataraku.

Götz; Lerse; Jerzy; pachołcy konno.

Götz. Tu nad stawem i na lewo do lasu, to zajmiemy im tyły. (Przejeżdżają.)

Pierwszy pachołek (złazi z drzewa). Tam djablo źle siedzieć! Michale! Cóż to? nie odpowiada? Michale, już pojechali! (Idzie do bagna.) Michale! Ach, nieszczęście! zapadł się w trzęsawisko! Michał! Już mnie nie słyszysz, udusił się. Więc jednak zdechłeś, ty tchórzu! — Biją naszych! Nieprzyjacie! wszędzie nieprzyjacie!

Götz; Jerzy, konno.

Götz. Stój, kpie, albo zginiesz!

Pacholek. Darujcie mi życie!

Götz. Dawaj miecz twój! Idź, Jerzy, zaprowadź go, niech będzie z tamtymi, których pilnuje Lerse pod lasem. Ja puszcę się za ich dowódcą, który ucieka. (Odjeżdża.)

Pacholek. Co się stało z rycerzem, który nami dowodził?

Jerzy. Mój pan zrzucił go z konia na głowę, że mu aż kita od hełmu ugrzęzła w kałuży. Jego ludzie podnieśli go i podrażowali z nim cwałem co żywo! (Odchodzi.)

O b ó z.

Rotmistrz; Pierwszy porucznik.

Pierwszy porucznik. Zmykają zdaleka ku obozowi.

Rotmistrz. Pewno im siedzi na piętach. Każcie jakim pięćdziesięciu ludziom wyruszyć do młyna; jeśli się zanadto wysunie, może wam się uda go złapać. (Porucznik odchodzi.)

Drugi porucznik, prowadzony przez pacholków.

Rotmistrz. Cóż słyhać, paniezu? Przytarli wam trochę rogów?

Drugi porucznik. Daj go katu! Róg najmocniejszy w prochby się rozprysł. Istny czort! Jak rzucił się na mnie, myślałem, że to grom, i że się zapadam pod ziemię.

Rotmistrz. Dziękujcie Bogu, że tak się skończyło.

Drugi porucznik. Nie ma czego dziękować; parę żeber pękło we dwoje. Gdzie felczer? (Odchodzi.)

J A X T H A U S E N.

Götz; Selbitz.

Götz. Cóż powiesz o banicy?

Selbitz. To sprawa Weislinga.

Götz. Czy tak myślisz?

Selbitz. Nie myślę, bo wiem.

Götz. Zkądże?

Selbitz. Mówiłem ci, że był na sejmie; kręcił się przy cesarzu.

Götz. A więc znów popsujemy mu szyki!

Selbitz. Spodziewam się.

Götz. Jedźmy! I niech się zacznie obława.

O b ó z.

Rotmistrz; Porucznik.

Rotmistrz. To się na nic nie przyda. Jeden oddział nam tłucze po drugim, a kto nie zginie, lub w ich ręce nie wpadnie, ten woli drapnąć do Turka, niż do obozu tu wracać. Siły nasze z każdym dniem słabną; trzeba raz zdobyć się na coś stanowczego i już go przyprzeć na seryo. Sam z wami wyruszę; a niech się przekona, z kim ma do czynienia.

Porucznik. My na to jak na lato; chociaż on tak zna miejscowość, wszystkie ścieżki i steczki, że trudniejszy jest do złowienia, niż myszka w stodole.

Rotmistrz. Już my go dostaniem. Więc najprzód na Jaxthausen. Czy zechce, czy nie, pokazać się musi, żeby bronić swojego zamku.

Porucznik. Czy cały nasz obóz wyruszy?

Rotmistrz. A jakże! Wy może nie wiecie, że już stu nam ubyło?

Porucznik. Prędzój zatem, nim cała bryła lodu stopnieje; tu ciepło, a my stoimy, jak masło na słońcu. (Odchodzą.)

Góry i las.*Götz; Selbitz; Zbrojni.*

Götz. Nadeiagają w pełnej gromadzie. Wielki był czas, że się jeżdżcy Sickinga z nami złączyli.

Selbitz. Rozdzielmy się. Ja z lewej strony około pagórek.

Götz. Zgoda! Ty, Franciszku, poprowadzisz pięćdziesięciu lasem na prawo. Nieprzyjaciół idzie równiną; ja stanę mu w poprzek drogi. Jerzy, ty przy mnie zostaniesz. Jak tylko ujrzycie, że nacierają już na mnie, wy na nich natychmiast z jednej strony i z drugiej. Przetrzepiemy ich co się zowie. Ani się spodziewają, że możemy dotrzymać im placu. (Odchodzi.)

Równina; z jednej strony wzgórze, z drugiej las.*Rotmistrz; wojsko egzekucyjne.*

Rotmistrz. Stanął na środku równiny! To mi zuchwalec! Pożądaje on tego! Cóż to? Nie lęka się wcale potoku, który z hukiem na niego uderzy?

Porucznik. Wolałbym, żebyście nie jechali na czele; on tak wygląda, jak gdyby pierwszego, z którym się spotka, do góry nogami osadzić chciał w ziemi. Jedźcie za nami!

Rotmistrz. Nie mam na to ochoty.

Porucznik. Uczynicie to dla mnie! Toć wy jeszcze węzłem tej rószechki leszczyny; jeśli ją rozwiążecie, on wam każdy pręcik zegnien jak trawkę.

Rotmistrz. Zatrąb, trębacz! A wy zmieście go z drogi! (Odchodzi.)

Selbitz cwałem wypada z za wzgórza.

Selbitz. Za mną! Niechże teraz Boga poproszą, żeby każdemu z nich choć po dwie rąk dodał!

Lerse z lasu.

Lerse. Pomocy dla Götza! O mało że go nie otoczyli. Już ich tam, widzę, przerzedził, dzielny Selbitzu! Głowami ich, jak makówkami, zasiejemy równinę. (Przejeżdża w drugą stronę; zgiełk.)

Wzgórze ze strażnicą.

Selbitz ranny; Pachołek.

Selbitz. Zostawcie mnie tutaj i wracajcie do Götza!

Pierwszy pachołek. Pozwólcie nam przy was pozostać! Będziemy wam, panie, potrzebni.

Selbitz. Niech który wejdzie na strażnicę obaczyć, co się tam dzieje.

Pierwszy pachołek. Jakże się na nią dostanę?

Drugi pachołek. Włóż mi na plecy, to sięgniesz do luki, i ztamtąd sobie na wierzch poradzisz.

Pierwszy pachołek (wchodzi na wieżę). Ach, panie!

Selbitz. Co widzisz?

Pierwszy pachołek. Wasi jeźdźcy uciekają ku wzgórzu.

Selbitz. Podłe psy! Wolałbym, żeby stali jak mur, a mnie żeby w samo serce trafiła kula. Niech z was który pojedzie! niech im napomstuje i naklnie, aż staną i wrócą. (Pachołek odchodzi.) Czy widzisz Götza?

Pachołek. Widzę jego trzy czarne pióra, jak się unoszą wśród tłumu.

Selbitz. Płyn, dzielny pływaku! Ja leżę!

Pachołek. A białe pióro, kto taki?

Selbitz. To rotmistrz.

Pachołek. Götz się do niego przysuwa — buch! Zleciał!

Selbitz. Czy rotmistrz?

Pachołek. On, panie.

Selbitz. Doskonale! wybornie!

Pachołek. O dla Boga! Już Götza nie widzę.

Selbitz. Więc i mnie już umierać!

Pachołek. Tam gdzie stał, ścisk okropny. Znikło już i pióro niebieskie Jerzego.

Selbitz. Zejdź na dół! A Lersego nie widzisz?

Pachołek. Nie rozpoznać nie mogę. Wszystko się mięsza.

Selbitz. Nie nie widzisz? Chodź! A jak trzymają się jeźdźcy Sickinga?

Pachołek. Trzymają się dobrze. — Oto jeden z nich ucieka ku stronie lasu. I ot, jeszcze jeden! Cały oddział! Götza już nie ma!

Selbitz. Zejdź na dół!

Pachołek. Nie mogę. — Ach! ach! Widzę Götza! Widzę Jerzego!

Selbitz. Czy na koniach?

Pachołek. A jakże! Na koniach! Zwycięstwo! Zwycięstwo! Zmykają!

Selbitz. Cesarscy?

Pachołek. Z chorągwią w środku kolumny; Götz tuż ich śeiga. Teraz się rozsypują. Götz chorążego dopędził — schwycił chorągiew — trzyma ją. Garstka ludzi otacza go. Towarzysz mój podjeżdża ku niemu. — Już jadą.

Götz; Jerzy; Lerse; Wojsko.

Selbitz. Szczęść Boże, Götzu! Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Götz (zsiada z konia). Drogie ono! o, drogie! Tyś ranny, Selbitzu?

Selbitz. Ale ty żyjesz, i zwycięstwo przy tobie! Ja zrobiłem niewiele. A! podli ci moi jeźdźcy! Jakżeś ocalał?

Götz. Były to nieprzelewki! Życie moje zawdzięczam Jerzemu, i tu oto Lersemu. Wysadziłem z siodła rotmistrza. Oni mi zakłuli gniadosza i rzucili się na mnie. W tém Jerzy dobił się do nas i zeskończył na ziemię; — ja piorunem na jego konia i w jednéj chwili on już siedział na drugim. Zkąd ty, chłopcze, go wzięłeś?

Jerzy. Któryś z nich zamierzał się na was, więc ja, kiedy mu bok się odsłonił, wpędziłem mu sztylet pod samo biodro. Spadł, ani zipnął, — a ja, was uwalniając od napastnika, sobiem konia naraił.

Götz. Potém staliśmy, dopóki się Franciszek do nas nie dobił, — a wtedy zaczęliśmy kosić od środka.

Lerse. Te psy, które ja prowadziłem, miały żać ku środkowi,

dopóki by się kopy nasze nie zeszczyły; ale oni umykali, jak gdyby to byli cesarscy.

Götz. Umykali i jedni i drudzy. Tylko szczupła moja gromadka zabezpieczała mi tyły, — bom i dosyć miał do roboty z temi drabami od przodu. Upadek ich rotmistrza przeraził ich i zaczęli uciekać. Zdobyłem chorągiew i kilku jeńców.

Lerse. Rotmistrz się wymknął?

Götz. Uprawdzili go tymczasem co żywo. Chodźcie, dzieci! i ty także, Selbitzu! — Zróbcie nosze z gałęzi; — na konia nie dam ci wsiadać. Pojedziemy do zamku. Oni już się rozpierzchli. Ale naszych jest mało, a nie wiem, czy nie mogą im nadejść posiłki. Ugoszczę was, moi drodzy! Po takićj przeprawie kielich wina nie wadzi.

O b ó z.

Rotmistrz, sam.

Rotmistrz. Zdusiłbym was własną ręką! POCO uciekać? U niego ludzi była już tylko garsteczka! Uciekać przed jednym człowiekiem! Nikt nie uwierzy, chyba ktoby zechciał nas wyśmiać. — Objedźcie wokoło, i wy, i wy także! Gdzie którego znajdziecie z naszych pacholców, sprowadźcie ich do mnie, albo zakłujcie. Trzeba naprawić te szczyrby, choćby się nam miecze skruszyć miały do szczętu!

J A X T H A U S E N.

Götz; Lerse; Jerzy.

Götz. Ani chwili zwlekać nie można! Biędne chłopcy, nie mogą dać wam odpocząć. Żywo! rozjedźcie się w koło i starajcie się zebrać co jeźdźców. Wszyscy niech się stawiają do Weilern; tam najbezpieczniej. Jeśli się będziem ociagać, gotowi mi podejść pod zamek. (Obaj odchodzą.) Jednego wysłać muszę na zwiady. Zaczyna się robić gorąco, — gdybyż to choć byli zuchy! Ale to motłoch. (Odchodzi.)

Sickingen; Marya.

Marya. Proszę was, nie opuszczajcie mojego brata! Jego ludzie, tak samo jak wasi i jak Selbitza, rozpierzchli się; on został sam jeden — Selbitza przynieśli rannego do zamku — wszystkiego się lękam.

Sickingen. Nie obawiajcie się! Ja ztąd nie odejdę.

Götz wchodzi.

Götz. Chodźcie do kościoła, ksiądz czeka. Za kwadrans być musi po ślubie.

Sickingen. Zostawcie mnie tutaj.

Götz. Teraz do kościoła.

Sickingen. Dobrze — lecz potem?

Götz. Potem pójdziecie, kędy wam droga.

Sickingen. Götzu!

Götz. Więc do kościoła nie chcecie?

Sickingen. Idźmy już, idźmy!

O b ó z.

Rotmistrz; Porucznik.

Rotmistrz. Ilu wszystkiego?

Porucznik. Stu pięćdziesięciu.

Rotmistrz. Z czterystu! To bięda! Teraz co prędej na koń, i wprost na Jaxthausen, nim on znów przyjdzie do siebie i zajdzie nam drogę.

J A X T H A U S E N.

Götz; Elżbieta; Marya; Sickingen.

Götz. Niech wam Bóg błogosławi, niech da wam dni szczęścia, a te, które wam ujmie, niechaj dla dzieci waszych zachowa!

Elżbieta. I niech one staną się podobnie jak wy, dobrymi i pocziwymi! A potem niechaj będą, czém zechcą.

Sickingen. Dziękuję wam. I tobie dziękuję, Maryo! Jam zaprowadził cię do ołtarza, a ty mnie poprowadzisz do szczęścia.

Marya. Wspólnie odbędziemy pielgrzymkę do téj nieznanej, obiecanej krainy.

Götz. Szczęśliwej podróży!

Marya. Ja nie to chciałam powiedzieć; my was nie opuścimy.

Götz. Przeciwnie, siostró; wam trzeba odjeżdżać.

Marya. Jesteś niemiłosierny.

Götz. A ty więcej czuła, niż przewidująca.

Jerzy wchodzi.

Jerzy (po cichu). Żadnego namówić nie mogę. Jeden jedyny już zdawał się skłonnym, lecz potem się rozmyślił i nie chciał.

Götz. (po cichu.) Cóż robić, mój Jerzy! Szczęście zaczyna do mnie odwracać się tyłem. Ale ja to przeczuwał. (Głośno.) Proszę was, Sickingen, odjeżdżajcie jeszcze dziś wieczór. Namówcie Maryę; wszak ona już jest waszą żoną. Pokażcie jej swoją władzę. Tam gdzie kobiety przeszkadzają nam w naszych zamysłach, nieprzyjacielowi w otwartem polu bezpiecniej, niż innym razem za murami warowni.

Pacholek wchodzi.

Pacholek (po cichu). Panie, chorągiew cesarskich nadchodzi; — prosto tutaj i w wielkim pośpiechu.

Götz. Wybiłem ich ze snu! Ilu ich będzie?

Pacholek. Ze dwustu. Za jakie dwie godziny mogą być tutaj.

Götz. Czy są jeszcze za rzeką?

Pacholek. Za rzeką, panie.

Götz. Gdyby mieć choćby z pięćdziesięciu, nie przesliby przez nią. Czyś nie widział Lersego?

Pacholek. Nie, panie.

Götz. Każ wszystkimi, niech trzymają się w pogotowiu. — Moi drodzy, trzeba się rozstać. Płacz, dobra Maryo; nadejdzie chwila, że znów się ucieszysz. Lepiej iżbyś płakała w dzień ślubu, niż żeby zbyt wielka radość była zwiastunką przyszłej niedoli. Bywaj zdrowa, Maryo! Bywaj zdrow, bracie!

Marya. O moja siostró, ja was opuścić nie mogę. Zostaw nas tutaj, kochany bracie! Czyliż męża mego cenisz tak mało, że w podobnej ostateczności gardzisz jego pomocą?

Götz. Ani słowa! Zemną zaszło daleko. Upadek mój może za pasem. Wy wstępujecie dziś w życie, a ja pozwolić na to nie mogę, żebyście z moim losem byli związani. Konie wasze czekają. Odjedziecie natychmiast.

Marya. Bracie! mój bracie!

Elżbieta (do Sickinga). Ustąpcie mu! Idźcie!

Sickingen. Chodźmy, droga Maryo!

Marya. I ty także? Serce mi pęknie.

Götz. A więc dobrze, zostańcie! Za kilka godzin obsadzą mi zamek.

Marya. O Boże!

Götz. Będziemy się bronili, co siły.

Marya. Matko Boża, miej litość nad nami!

Götz. I w końcu zginiemy, albo poddamy się. — Szlachetnego męża twojego te łzy twoje wtrąca w tę samą co i mnie zgubę.

Marya. Ty mnie dręczysz.

Götz. Zostań! Zostań! Razem wezmą nas do niewoli, a ty,

Sickingu. podzielisz moje więzienie, kiedy ja się właśnie spodziewałem, że mnie żeń wydobędziesz.

Marya. Jedziemy. Siostró! o moja siostró!

Götz. Zawieź ją w miejsce pewne, a potem o mnie pamiętaj!

Sickingen. Dopóty praw męzkowskich nie zaznam, dopóki ty z niebezpieczeństwa nie wyjdziesz.

Götz. Siostró — kochana siostró! (Całuje ją.)

Sickingen. Już chodźmy!

Götz. Chwilkę już tylko! — Ja was jeszcze zobaczę. Bądźcie dobrej myśli! Jeszcze się zobaczymy! (Sickingen i Marya odchodzą.)

Götz. Sam na nią nalegałem, a teraz kiedy odchodzi, radbym zatrzymać. — Ty zostaniesz przy mnie, Elżbieto!

Elżbieta. Do śmierci!

Götz. Kogo Bóg kocha, temu niech taką da żonę!

Jerzy wchodzi.

Jerzy. Już są niedaleko; widziałem ich z wieży. Dzidy ich lśniły się w słońcu, które właśnie wschodziło. Gdym ich obaczył, więcę się nie strachałem, niż kot przed całą gromadą myszy. Prawda, że to my tu szczurami.

Götz. Niech zajrzy tam który, czy zasuwy dobrze trzymają! Wrota zatarasować belkami i kamieniami! (Jerzy odchodzi.) Zadrwimy sobie z ich cierpliwości, a odwaga ich wylézie im bokiem! (Słychać trąbkę.) Aha! to urwipoleć w czerwonej liberyi, który nas spyta, czy chcemy być huncwotami! (Podchodzi do okna.) Czego tam? (Słychać głos mówiącego za sceną.)

Götz (półgłosem). Bodajes wisiał! (Trębacz mówi dalej.)

Götz. Obraza majestatu! — To niezawodnie jakiś klecha wykonyował. (Trębacz przestaje mówić.)

Götz (odpowiada). Poddać się! Na łaskę i niełaskę! Do kogo wy gadacie? Czy ja to rozbójnik? Powiedz twojemu rotmistrzowi: Dla Jego Cesarskiej Mości jak zawsze z największym jestem uszanowaniem. Ale on, powiedz mu, niechaj mnie — — (Zamyka okno z trzaskiem.)

O b l ę z e n i e.

Kuchnia.

Elżbieta, Götz wchodzi.

Götz. Biedna kobieto, dużo masz pracy.

Elżbieta. Chciałabym ją mieć jak najdłużej. Długo chyba nie wytrzymamy.

Götz. Już nie było kiedy robić zapasów.

Elżbieta. I na tyle ludzi, których dotąd karmiliśmy. Wino także się ma ku końcowi.

Götz. Dojdźmy tylko do tego, żeby zażądali kapitulacyi. Uszczerbek im robimy niemały. Oni strzelają od rana do nocy, ale ranią tylko mury, i szyby tłuką nam w oknach. Lerse zuch co się zowie; łązi on z kąta w kąt ze swą puszką, a jak się który wysunie zbyt blisko, — paf! już go nie ma.

Pacholek wchodzi.

Pacholek. Pani, prosimy węgli.

Götz. Do czego?

Pacholek. Kule nam wyszły; trzeba łać nowe.

Götz. A jakże z prochem?

Pacholek. Z prochem jest jeszcze nieźle. My bo oszczędzamy się ze strzałami.

S a l a.

Lerse z formą do odlewania kul; Pacholek z węglami.

Lerse. Postaw je tutaj i popatrz, czy gdzie nie dostaniesz ołowiu. Tymczasem tu sobie poradzę. (Wyjmuje okno i tłucze w niem szyby.) Wszystkie środki są dobre. — Tak bywa na świecie; nikt wiedzieć nie może, do czego się co jeszcze przyda. Szklarz, który wprawiał te szyby, niezawodnie o tém nie marzył, że ołów' jednemu z jego prawnuków sprawi brzydki ból głowy! tak samo jak mój ojciec nie wiedział, który z ptaków niebieskich, albo z robaków na ziemi mnie poźre.

Jerzy wchodzi z rynną ołowianą.

Jerzy. Naści ołowiu! Jeżeli trańsz choć jedną tylko połowę, to z nich żaden nie ujdzie, co by mógł cesarzowi powiedzieć: Najjaśniejszy panie, kiepskośmy się spisali.

Lerse (rabie rynnę w kawały). Tęga porcy.

Jerzy. Niech sobie deszcz innéj drogi poszuka! Ja się o to nie troszczę: dobry jeździec i dobry deszcz zawsze sobie poradzą.

Lerse (leje kule). Trzymaj formę. (Podchodzi do okna.) At! właśnie taki cesarski przechadza się z puszką na ramieniu; oni myślą, żeśmy zapasy nasze już wystrzelali. Niech spróbuje téj kulki; jeszcze gorąca, prosto z patelni. (Nabija strzelbę.)

Jerzy (opiera formę o ziemię). Poczeka! I ja zobaczę!

Lerse (strzela). Otóż i po nim.

Jerzy. To ten sam, który wpierw strzelał do mnie (leją kule), kiedy wyłazł przez dymnik po ołów. Trafił w gołębia, który blisko mnie siedział i który wpadł w rynnę; podziękowałem mu za pieczyste i z podwójną zdobyczą wróciłem do izby.

Jerse. Teraz nabić jak się należy, i podejść do okien, żeby sobie zarobić na obiad.

Götz wchodzi.

Götz. Zostań tu, Jerse! Mam z tobą do pogadania! Ciebie, Jerzy, nie trzymam; — chcesz, to idź sobie na polowanie! (Jerzy odchodzi.)

Götz. Proponują mi układ.

Jerse. Wyjdę do nich i dowiem się, czego żądają.

Götz. Pewnie zechcą, żebym się na warunkach stawiał do rycerskiego więzienia.

Jerse. Nic z tego. Ale co, gdyby nam dali swobodnie odejść, skoro i tak od Sickinga nie wyglądacie odsieczy? Zagrzebalibyśmy pieniądze i srebra, gdzieby ich nie znaleźli nawet z kwiatem paproci; — zamek niechby zajęli, i jakoś jeszczeby to było po Bogu.

Götz. Nie puszcza nas.

Jerse. Można spróbować. Zażądam glejtu i pójdę do nich. (Odchodzi.)

S a l a.

Götz; Elżbieta; Jerzy; Pacholcy.

(Przy stole.)

Götz. Zbliżyło nas niebezpieczeństwo. Niech wam będzie na zdrowie, moi kochani! A nie żałujcie kielicha! Gąsior próżny; proszę cię, żono, daj jeszcze jeden! (Elżbieta wzrusza ramionami.) Czy żadnego już nie ma?

Elżbieta (po cichu). Jest tylko jeden; odstawiłam go na bok dla ciebie.

Götz. Ej nie, moja droga! Lepiej go podaj! Oni potrzebują posiłku, nie ja; wszakże to moja sprawa.

Elżbieta. Przynieście go z szafy!

Götz. To już ostatni. A tak mi się zdaje, jak gdybyśmy skąpić sobie nie mieli potrzeby. Dawno już tak nie byłem wesoły. (Nalewa.) Niech żyje cesarz!

Wszyscy. Niech żyje!

Götz. Gdy będziemy umierać, to przedostatniem naszym powinno

być słowem! Kocham go, bo losy nasze są do siebie podobne. Jam nawet szczęśliwszy od niego. Jego zmuszają łowić myszy dla Stanów, a własne jego posiadłości tymczasem nadgryzają mu szczury. Wiadomo mi, że nieraz wolałby doczekać się śmierci, niżeli być duszą ciała tak kalekiego. (Nalewa.) W sam raz starczy jeszcze po jednym kubku. Ale gdy już krwi naszój zacznie ubywać, tak jak wino, które z tego gąsiora płynęło najprzód strumieniem, teraz się sączy kroplami (wysącza ostatnie krople do swojego kielicha), jakież będzie nasze słowo ostatnie?

Jerzy. Niech żyje wolność!

Götz. Niech żyje wolność!

Wszyscy. Niech żyje wolność!

Götz. Jeżeli nas ona przeżyje, możemy spokojnie umierać. Bo w duchu patrzeć będziemy na nasze wnuki szczęśliwe, i na cesarzy szczęśliwych tych wnuków. Jeżeli słudzy książąt tak szlachetnie służyć im będą, jak wy mnie służycie, — jeżeli książęta służyć tak cesarzowi, jak ja radbym jemu — —

Jerzy. Na to wiele potrzeba.

Götz. Nie tak wiele, jak może się zdaje. Alboż między książętami nie znałem ludzi wybornych, i miałaby już ród ich wyginąć? Ludzi zacnych, którzy szczęściem swoich poddanych byli szczęśliwi; którzy nie przeciwiali się temu, żeby obok nich mieszkali sąsiedzi szlachetni i wolni, i ani ich się lękali, ani im zazdrościli; którym serce rosło, gdy wielu równych sobie widzieli przy stole, i którzy chcąc z nimi przestawać, nie potrzebowali dopiero rycerzy przemieniać w dworaków.

Jerzy. Znaliście takich panów?

Götz. O, znałem! Nie zapomnę ja póki życia, jak landgraf Hanauski zaprosił nas do siebie na łowy, — jak wszyscy książęta i obecni panowie pod gołym niebem obradowali, a włościanie zbiegali się zewsząd. by tamtych oglądać. Nie była to maskarada, którąby sam na cześć swoją wyprawiał; — były to pełne i okrągłe twarze chłopców i dziewczuch, same rumiane policzki, gospodarze zamożni, starey postawą swą nakazujący poszanowanie, — wszyscy z wesołym wejrzeniem, i wszyscy brali udział w świetnościach swojego pana, który się wśród nich rozkoszował na kobiercu Bożej murawy.

Jerzy. To mi był pan, zupełnie podobny do was.

Götz. Dlaczegoż nie mieć nadziei, że takich książąt panować może więcej i to jednocześnie? że cześć dla cesarza, pokój i przyjaźń sąsiadów, miłość poddanych najcenniejszym staną się skarbem rodzinnym, który przejdzie na wnuki i na ich praprawnuki? Każdyby się zostawał przy swoim, mnożyłby to co ma, ulepszając i pielęgnując, — kiedy im teraz się zdaje, że inaczej rosnać nie mogą w potęgę, tylko chyba zgubą drugiego.

Jerzy. A wyjeżdżalibyśmy także na wojnę?

Götz. Dałby Pan Bóg, żeby już w Niemczech nie było głów nie-spokojnych; — dla nas znalazłoby się jeszcze dość do roboty. W gó-rach tępiłby można wilki, — sąsiadom siedzącym spokojnie na roli przysługiwać się na piecyste zwierzyną, i za to zjadać z nimi łyżkę rosołu. Gdyby nie starczyło nam tego, tobyśmy z braćmi naszymi stanęli, jak Cherubiny z ognistemi mieczami, na straży u granic naszej ojczyzny, przeciw wilkom Bisurmanom i lisom Francuzom, a bronilibyśmy zarazem narażonych na niebezpieczeństwo krajów drogiego naszego cesarza i spokojności powszechnej. To dopiero byłoby życie, mój Jerzy! gdyby skóry swojej można nadstawiać dla szczęścia ogółu!

(Jerzy zrywa się.) A ty dokąd?

Jerzy. Ach! zapomniałem, że jesteśmy tu w kozie! — A wsadził nas cesarz! — Skóry naszej nadstawiamy po to jedynie, żeby ją zabez-pieczyc.

Götz. Bądź dobrej myśli!

Lerse wchodzi.

Lerse. Wolni! Wolni! Ludziska to niegodziwe, osły niezdecy-dowane, którym do namysłu nie wiedzieć ile potrzeba czasu. Możemy więc odejść, z bronią, rynsztunkiem i końmi. Żywność ma się tu zostać.

Götz. Żołądka sobie nią nie zepsują.

Lerse (po cichu.) Czy ukryliście srebra?

Götz. Nie jeszcze! Żono, idź tam z Franciszkiem; on ci ma coś powiedzieć. (Wszyscy odchodzą.)

Dziedziniec zamkowy.

Jerzy w stajni, śpiewa:

Złapał w potrzask ptaszka żak,

Dziób na kwintę spuścił ptak.

Tak ci, tak!

Biędny ptak!

Żak się cieszył, żak się śmiał,

Ująć w garście ptaka chciał.

Tak ci, tak!

Zgłupiał żak!

Rozwarł drzwiczki — ptaszek czmych!

I z głupiego chłopca w śmiech!

Tak ci, tak!

Mazgaj żak!

Götz. I cóż?

Jerzy (wyprowadza jego konia). Już okulbaczone.

Götz. Doskonale się uwijasz.

Jerzy. Jak ptaszek z klatki.

Wszyscy obłączeni.

Götz. Czy wasze własne macie puszkę? Po co? Idźcie na górę do zbrojowni i wybierzcie co najlepsze; na jedno to wyjdzie. My pojedziemy naprzód.

Jerzy (nóci).

Tak ci, tak!

Mazgaj żak. (Odchodzi.)

S a l a.

Dwóch pacholeków przy zbrojowni.

Pierwszy pacholek. Ja sobie tę wezmę.

Drugi pacholek. A ja tę. Oto druga, jeszcze ładniejsza.

Pierwszy pacholek. Gdzież tam! Spiesz się.

Drugi pacholek. Słyszałeś?

Pierwszy pacholek (biegnie do okna.) Królu Jerozolimski! Mordują naszego pana! Ściągnęli go z konia! Jerzy pada!

Drugi pacholek. Dokąd uciekać? W pole, pod mur, za orzech!

Pierwszy pacholek. Franciszek jeszcze się trzyma; lecę do niego. Jeśli oni zginą, i ja żyć nie mam ochoty. (Odchodzi.)

A K T C Z W A R T Y.

Oberża w Heilbronn.

Götz sam.

Götz. Podobny jestem do złego ducha, którego w worek zaklął kapucyn. Męcę się i kręcę, a wszystko na nic. Wiarołomcy!

Elżbieta wchodzi.

Götz. Jakież wiadomości, Elżbieto, o moich wiernych wojakach?

Elżbieta. Nic pewnego. Jedni zabici, innych zamknęli do wieży. Nikt mi nie o nich bliższego powiedzieć czy nie umiał, czy nie chciał.

Götz. Więc to ich nagrodą za wierność? za posłuszeństwo synowskie? — Aby ci się dobrze działo i abyś żył długo na ziemi!

Elżbieta. Drogi mężu, nie szemrz przeciw naszemu Ojcu w Niebiesiech! Odebrali oni swoją nagrodę, bo ta wraz z niemi narodziła się na świat: serca szlachetne i wolne. Oni w więzieniu nawet są wolni! Uważaj na radców delegowanych! te duże, złote łańcuchy tak im do twarzy —

Götz. Jak wieprzowi obróza. Chciałbym Jerzego i Franciszka widzieć w kajdanach!

Elżbieta. Anioł rozpłakałby się na ten widok.

Götz. Jabym nie płakał. Zgrzytałbym zębami i gryzłbym wściekłość swą w sobie. Ulubieńcy moi w kajdanach! Pocziwie chłopaki, pociście mnie kochali? — Nie mógłbym się na nich napatrzeć. — Łamać słowo w imię cesarza!

Elżbieta. Przestań o tem myśleć! Przypomnij sobie, że stanąć masz przed radcami! Nie jesteś, widzę, tak usposobionym, żeby z niemi pomówić łagodnie, i najgorszego się lękam.

Götz. Cóż oni mogą mi zrobić?

Elżbieta. Woźny sądowy!

Götz. Osioł sprawiedliwości! Wory ich dźwiga do młyna, a śmieci w pole wywozi. — Co powiesz?

Woźny wchodzi.

Woźny. Panowie komisarze są zebrani w ratuszu i przysyłają was prosić.

Götz. Idę.

Woźny. Będę wam towarzyszył.

Götz. Bardzo zaszczytnie!

Elżbieta. Powściągnij się!

Götz. Bądź spokojna!

R a t u s z.

Radcy cesarscy; Rotmistrz; Rajcy miejscy.

Rajca. Zebraliśmy tu na wasz rozkaz najsilniejszych i najodważniejszych obywateli; czekają w pobliżu waszego skinienia, żeby ująć osobę Berlichinga.

Pierwszy radca. Z przyjemnością pochwalimy przed Jego Cesar-

ską Mością waszą gotowość do wykonania najwyższej jego woli. — Czy to rzemieślnicy?

Rajca. Kowale, cieśle, mularze, ludzie z wprawne mi pięściami, którym i tu nie brakuje (wskazuje na pierś).

Radca. Dobrze.

Woźny sądowy wchodzi.

Woźny. Götz von Berlichingen czeka.

Radca. Niechaj wejdzie!

Götz wchodzi.

Götz. Bóg z wami, panowie! Czego chcecie odemnie?

Radca. Przedewszystkiém, żebyście pamiętali, gdzie jesteście i przed kim.

Götz. Na moją przysięgę rycerską! Nie jestem ja w błędzie co do was.

Radca. Taki wasz obowiązek.

Götz. Spełniam go z całego serca.

Radca. Siadajcie!

Götz. Tam na brzegu? Wolę tu postać. Ławeczkę czuć zbrodniarzami, jak w ogóle całą tę izbę.

Radca. A więc stojcie!

Götz. Do rzeczy, jeżeli łaska.

Radca. Pójdziemy porządkiem.

Götz. I owszem; szkoda, że nie bywało tak zawsze.

Radca. Pamiętacie, żeście na łaskę i niełaskę dostali się w nasze ręce.

Götz. Co mi dacie za to, żebym zapomniał?

Radca. Jeślibym mógł wam dać trochę skromności, tobym sprawę waszą znakomicie naprawił.

Götz. Naprawilibyście! Gdybyż to można! Nie tak to łatwo, jak zgubić.

Pisarz. Czy to wszystko zapisać do protokołu?

Radca. Co należy do rzeczy.

Götz. Dla mnie, możecie choć wydrukować.

Radca. Byliście w ręku cesarza, którego łaska ojcowska, zastępująca majestat sprawiedliwości, wyznaczyła wam na miejsce pobytu to miłe sercu jego miasto zamiast więzienia. Zobowiązaliście się przysięgą, że się stawicie, jak na rycerza przystoi, i w pokorze czekać będziecie dalszego postanowienia.

Götz. Prawda, i otóż tu jestem i czekam.

Radca. A my tu jesteśmy, żeby zwiastować wam Jego Cesarskiej Mości łaskę i dobrotliwość. Najjaśniejszy pan przebacza wasze prze-

stępstwa, tudzież zwalnia was od banieyi i wszelkich kar zasłużonych, co wszystko wy uznacie z wiernopoddaną wdzięcznością, a natomiast w tę rotę, którą zaraz wam przeczytają, odprzysięgnięcie się i rzeknięcie wszelkiej burdy i zemsty.

Götz. Jestem jak zawsze wiernym sługą Jego Cesarskiej Mości. Tylko jedno jeszcze słowo, nim mówić zaczniecie dalej: — Gdzie moi ludzie? Co z niemi się stanie?

Radca. To was nie obchodzi.

Götz. Niechże cesarz tak się od was odwróci, gdy wy będziecie w potrzebie! Oni byli i są mojami towarzyszami! Gdzieżeście ich podzieli?

Radca. Nie mamy obowiązku zdawać wam z tego sprawy.

Götz. Ach prawda! Zapomniałem, że was to nawet nie obowiązuje, coście przyrzekli — tém bardziej — —

Radca. Zlecono nam przedstawić wam rotę żądań od was przysięgi. Poddajcie się cesarzowi, a znajdziecie w tém środek błagania go o życie i wolność swych towarzyszków.

Götz. Gdzież ten papier?

Radca. Czytajcie, pisarzu!

Pisarz (czyta). „Ja Götz von Berlichingen pismem niniejszém publicznie oświadczam: że, ponieważ niedawno buntowniczo powstałem przeciwko cesarzowi i państwu“ —

Götz. To nieprawda. Ja buntownikiem nie jestem, przeciw Jego Cesarskiej mości w niczém nie przewiniłem, a państwo mię nie obchodzi.

Radca. Miarkujcie wasze słowa i dalej słuchajcie!

Götz. Już nic słuchać nie będę. Niechże kto powstanie i zezna! Czym ja aby jednym krokiem wystąpił przeciwko cesarzowi, przeciw domowi austriackiemu? czyli owszem wszystkimi czynami mojami zawsze nie świadczył, iż lepiej niż ktokolwiek to czuję, co Niemcy winne swojemu władcy? szczególnie zaś, co mu winni drobniejsi, rycerze i wolni? Byłbym kpem, gdybym dał się namówić, żeby się na tém podpisać.

Radca. A jednak mamy rozkaz wyraźny, żeby albo was skłonić w dobroci, albo w razie przeciwnym zamknąć do wieży.

Götz. Do wieży? Mnie do wieży?

Radca. Tam oczekiwać możecie swojego losu z ręki sprawiedliwości, skoro nie przyjmiecie go z ręki łaski.

Götz. Do wieży! Nadużywacie władzy cesarskiej! Do wieży! On tego nie kazał. Co! Najprzód zdrajcy stawiają mi łapkę, w której ich przysięga i słowo rycerskie są jakby ponętą, sadełkiem na myszy! Potém przyrzekają areszt rycerski, a i tę obietnicę znów łamią!

Radca. Rozbójnikowi wiary dotrzymywać nie trzeba.

Götz. Gdybyś nie nosił na piersi wizerunku cesarza, który w najobrzydliwszym nawet konterfekcie zwykłem szanować, połknąłbyś rozbojnika, albowiem nim się udawiał! Ja zwadę prowadzę uczciwą. Mogłbyś Bogu dziękować i jeszcze się pysznić przed światem, gdybyś w życiu swoim choć jeden spełnił czyn tak szlachetny, jak ten, dla którego jestem więziony. (Radca daje znak rajcy, który dzwoni.)

Götz. Jam wyruszył nie dla zdroźnego zysku, — nie po to, żeby bezbronnym zabierać ziemie i ludzi. Musiałem uwolnić pachołka i bronić własnej skóry! Czy w tém było co złego? Ani cesarza, ani też państwa mojabym biada nie gnioła. Mam ja jeszcze jedną rękę, Bogu dziękować, i dobrze uczynił, że się nią posłużyłem.

(*Mieszczanie wchodzą z drągami w rękę i orężem u boku.*)

Götz. Co to ma znaczyć?

Radca. Nie chcecie słuchać. Chwytajcie go!

Götz. Czy tak? Który z was nie jest wołem węgierskim, niech się do mnie nie zbliża, bo tą prawą moją ręką żelazną dałbym mu taki policzek, że wyleczyłbym go na zawsze z bólu głowy, z bólu zębów i ze wszystkich zgoła bólów na świecie. (Przystępują do niego: on jednego z nich powala o ziemię, a drugiemu wyrwa szablę. Mieszczanie cofają się.) Chodźcie, chodźcie! Radbym poznać pomiędzy wami najmężniejszego.

Radca. Poddajcie się!

Götz. Z mieczem w rękę? Czy wiecie, że teraz zależałoby tylko odemnie, gdybym się chciał przebić przez wszystkich tych bohaterów zajęczych i dostać się na wielki gościniec? Ale ja wam pokażę, jak to dotrzymuje się słowa. Przrzeknijcie mi areszt rycerski, a ja miecz mój złożę i będę waszym jeńcem, jak przedtém.

Radca. Czy z mieczem w rękę chcecie się prawować z cesarzem?

Götz. Uchowaj mię Boże! Tylko z wami i z waszą zacząć kompanią. — Idźcie do domu, dobrzy ludzie! Za stratę czasu nie i tak wam nie dadzą, i nie też tu zarobić nie można, prócz guzów.

Woźny sądowy wchodzi.

Woźny. Odźwierny woła w téj chwili, że się jakiś oddział o dwustu przeszło zbrojnych podsuwa ku miastu. Wypadli oni znienacka z po za winnicy, i zagrażają już naszymu murom.

Rajca. Biada nam! Co to ma znaczyć?

Warta wchodzi.

Warta. Przy rogatce stoi Franz Sickingen i przezemnie wam kazał oświadczyć: że się dowiedział, jak niegodnie sprzeniewierzono się jego szwagrowi, i jak panowie Heilbronnscy we wszystkiem przeciw niemu dopomagają. Żąda więc tłumaczenia, gdyż inaczej po upły-

wie godziny miasto na wszystkich czterech końcach podpali i odda na rabunek swych ludzi.

Götz. Zacny bracie!

Radca. Odejdźcie, Götz! — Co tu czynić wypada?

Rajca. Ulitujcie się nad nami i nad naszym mieszczaństwem! Sickingen nie zna miary w swym gniewie, i groźbę gotów jest spełnić.

Radny. Jakże możemy ustąpić z praw cesarza i naszych?

Rotmistrz. Gdyby tylko na obronę ich nie brakło nam ludzi! Inaczéj możnaby zginać, a sprawa stanęłaby jeszcze gorzej. Ustępstwem zyskamy.

Rajca. Prośiny Götz, żeby się wstawił za nami. Mnie tak już na sercu, jak gdyby całe miasto było w płomieniach.

Radca. Wprowadźcie Götz!

Götz. Czego chcecie?

Radny. Dobrzebys zrobił, gdybys swemu szwagrowi wyperswadował buntownicze zamiary. Zamiast cię ocalić od zguby, on tém głębiej cię w nią owszem pogrąży, i sam ci będzie w niej towarzyszył.

Götz (zobaczywszy we drzwiach Elżbietę, do niej po cichu). Idź, powiedz mu, niech wpadnie natychmiast, niech dotrze aż tutaj, — tylko miastu niech nie wyrządza nic złego. Jeżeli te tu łajdaki będą stawiać mu opór, wtenczas niech siły użyje. Wszystko mi jedno, czy zginać, aby tylko z nich się żaden nie wymknał.

Wielka sala ratuszowa.

Sickingen; Götz.

(Cały ratusz obsadzony jest przez ludzi Sickinga.)

Götz. To była pomoc prawdziwie z nieba! Jak to się stało, bracie, żeś tak w samą porę i niespodzianie nadjechał?

Sickingen. Nic naturalniejszego na świecie. Wysłałem dwóch czy trzech ludzi, żeby się dowiedzieli, co z tobą się dzieje. Na wiadomość o wiarołomstwie tych niegodziwców, wybrałem się w drogę. Teraz my ich mamy w rękę.

Götz. Ja niczego nie żądam, tylko rycerskiego aresztu.

Sickingen. Tyś zanadto pocziwy. Żeby się tą nawet nie chcieć posługiwać korzyścią, jaką człęk prawy ma nad krzywoprzysięcą! Oni zbroili, pocóż im jeszcze rzeczy ułatwiać? Nadużyli haniebnie rozkazów cesarskich; to też znam o tyle najjaśniejszego pana, że z pewnością możesz się czegoś więcej domagać. Tego co mówisz, w każdym razie za mało.

Götz. Ja zawsze poprzestawałem na małym.

Sickingen. I zawsze też ciebie krzywdzili. Według mnie powinni oni twoich pachołków wypuścić z więzienia, i tobie wraz z niemi pozwolić pod przysięgą wrócić do twego zamku. Możesz się zobowiązać, że nie przekroczysz granicy twych włości; — zawsze tam będzie ci lepiej, niż tutaj.

Götz. Powiedzą, że mój majątek przeszedł już na cesarza.

Sickingen. To my odpowiemy, że chcesz wiać go dla siebie w arendę, dopóki ci go cesarz nie odda znów w lenność. Niech się wia, jak w sieci węgorze, na nic się to im nie przyda. Oni będą gadali o majestacie cesarskim, o swoich zleceniach. To nam już wszystko jedno. I ja znam cesarza, i u niego coś znaczę. Zawsze jego było życzeniem, żeby cię mieć w swojej armii. Przekonasz się, że niedługo będziesz siedział spokojnie, bo pewnie wnet otrzymasz wezwanie.

Götz. Dałby Bóg, żebym się tymczasem bić nie zapomniał!

Sickingen. Mężtwo się nie zapomina, tak samo jak się go nie można nauczyć. Nie troszcz się o nic! Skoro twoja sprawa będzie w porządku, udam się do dworu, bo przedsięwzięcie moje zaczyna dojrzewać. Pomyślnie wróżby mówią mi: — Czas już nadchodzi! Pozostaje mi tylko to jedno, żeby wybać usposobienie cesarza. Trewir i Palatynat prędzej spodziewają się końca świata, niż tego, że ja się do nich zabiorę. A wpadnę na nich jak burza! Jeżeli sami możemy być twórcami naszego losu, to ty wkrótce będziesz miał elektora za szwagra. Liczyłem przy tém przedsięwzięciu na pomoc twojego ramienia.

Götz (oglądając swoją rękę). O! przepowiedział mi to sen, który miałem w wigilię zaręczyn Maryi z Weislingiem. Przrzekał obłudnik, iż będzie mi wiernym, i tak silnie prawą rękę moją pochwycił, że jak ułamana wyszła ze stawów. Ach! jam obecnie bezbronniejszy jeszcze niż wtenczas, kiedy mi ją ustrzelili. O, Weislingu! Weislingu!

Sickingen. Zapomnij o zdrajcy! Zniweczmy jego zamysły, podkopiey znaczenie, a sumienie i hańba zagryzą go na śmierć. Widzę w duchu upadek moich wrogów i twoich. Już tylko pół roku, mój Götz!

Götz. Dusza twoja wysoki ma polot. Nie wiem dlaczego, ale od niejakiogo już czasu w *mojej* trudno o wesołe widoki na przyszłość. — Już nieraz bywałem w nieszczęściu, już bywałem w więzieniu, ałem nigdy się tak nie czuł, jak dzisiaj.

Sickingen. Szczęście rodzi odwagę. Idźmy teraz do tych głów pudrowanych! Dosyć długo oni gadali; obecnie na nas nadeszła kolój!

Zamek Adelhejdy.

Adelhejda; Weislingen.

Adelhejda. To fatalne!

Weislingen. Aż zgrzytnąłem zębami. Plan tak wyborny, wykonany tak świetnie, — a tu w końcu go wypuszczają do zamku! Przekląty Sickingen!

Adelhejda. Nie powinni byli.

Weislingen. Musieli. Cóż mieli robić? Dumny i krewki Sickingen groził ogniem i mieczem! Ja go nienawidzę. Znaczenie jego rośnie jak strumień, któremu raz udało się połknąć dwie lub trzy strugi. Inne same wnet pójdą za niemi.

Adelhejda. Alboż nie było cesarza?

Weislingen. Cesarz, kochana żono, jest już tylko cieniem tego, czém go znaleźliśmy dawniej. Starzeje się i traci energię. Kiedy się dowiedział, co zaszło, a ja wraz z innemi członkami rady ostro występowałem, cesarz rzekł: — Dajcie im pokój! Czyż staremu Götzowi pożałować mam tego kącika? A byleby w nim siedział cicho, to cóż na niego narzekać? — Zwróciliśmy jego uwagę, że dobro ogółu domaga się surowej sprawiedliwości. — Och! — odpowiedział — wołałbym być mieć zawsze doradców, którzyby niespokojny mój umysł skierowali byli raczej ku szczęściu jednostek!

Adelhejda. Zupełnie już traci ducha monarchy.

Weislingen. Powstawaliśmy na Sickinga. — To mój wierny sługa — rzekł. — Jeżeli nie uczynił tego z mojego rozkazu, to przecież wolę mą spełnił lepiej niż moi pełnomocnicy, a mnie wolno na to się zgodzić zarówno potem, jak przedtem.

Adelhejda. To nie do wytrzymania!

Weislingen. Wprawdzie zupełnie jeszcze nie stracił nadziei. Puścili go do zamku na słowo rycerskie, że siedzieć tam będzie cicho. Ale to dla niego jest niepodobieństwem, i wnet nowy przeciw niemu znajdziemy powód.

Adelhejda. A to tćm więcćj, iż się można spodziewać, że cesarz długo już żyć nie będzie, a Karol, dzielny jego następca, zapowiada usposobienie bardzićj cesarskie.

Weislingen. Karol? Ani on dotąd koronowany, ani nawet wybrany.

Adelhejda. Któżby sobie tego jednak nie życzył? Ktoby się nie spodziewał?

Weislingen. Wielkie, widzę, masz wyobrażenie o jego przymiotach; myślałby kto, że patrzysz na niego innemi oczyma.

Adelhejda. Obrażasz mnie! Czyś taką mię poznał?

Weislingen. Nie miałem zamiaru ciebie obrazić, — ale milczyć na to nie mogę. Niezwykłe attencye Karola dla ciebie czynią mnie niespokojnym.

Adelhejda. A moje postępowanie?

Weislingen. Jesteś kobietą. Wy nikogo nie nienawidzicie, co się do was przymila.

Adelhejda. A wy?

Weislingen. Straszna ta myśl pożera mi duszę! O Adelhejdo!

Adelhejda. Jakież mam lekarstwo na twoje szaleństwo?

Weislingen. O, gdybyś chciała! Mogłabyś dwór porzucić.

Adelhejda. Powiedz, jakim sposobem? Alboż ty nie jesteś przy dworze? Mamże ciebie tutaj zostawić i moich przyjaciół, żeby w naszym zamku zabawiać się rozmową z puszczykiem? Nie, mój drogi, nie z tego nie będzie! Uspokój się! Wszak wiesz, jak cię kocham.

Weislingen. To jedyna kotwica w téj burzy, dopóki się łańcuch nie zerwie. (Odchodzi.)

Adelhejda. Czy tak już zaczynasz? Tego tylko mi brakło. Zamyśły moje nadto są wielkie, żebyś ty im stanąć mógł na zawadzie. Karolu! Wielki, dzielny człowieku, a kiedyś cesarzu! Byłżeby on jedynym mężczyzną, któryby nie łaknął posiadania mych względów? O, Weislingu! Nie staraj się być mi przeszkodą, bo inaczej ty zginiesz, a droga moja pójdzie przez ciebie.

Franciszek wchodzi z listem.

Franciszek. Oto list, miłościwa pani.

Adelhejda. Czy sam Karol dał go tobie do ręki?

Franciszek. Sam, pani.

Adelhejda. Cóż tobie? Jakoś patrzysz tak smutno.

Franciszek. To wy, pani, chcecie żebym zatęsknił się na śmierć. Każecie mi rozpaczać w wieku nadziei.

Adelhejda (na stronie). Żal mi go — a cóżby mnie to kosztowało, żeby go uszczęśliwić? (Głośno.) Bądź dobrej myśli, chłopcze! Twoje przywiązanie i wierność są mi wiadome, a ja umiem być wdzięczną.

Franciszek (zmięszany). Gdybyście chcieli — — jabym chyba umarł od szczęścia. O mój Boże, wemnie nie masz ani jednej kropelki krwi, któraby do was nie należała — nie masz innéj myśli, prócz téj, żeby was kochać i to czynić, co wam się podoba.

Adelhejda. Pocziwy, kochany chłopcze!

Franciszek. Wy mi schlebiacie. (Wybuch łaźmi.) Jeżeli przywiązanie moje nie zasłużyło sobie nic więcej, jak tylko żebyście innych przekładali nademnie, żeby wszystkie myśli wasze zwrócone były do jednego Karola —

Adelhejda. Sam nie wiesz, czego chcesz, a tẽm bardziẽj, co gadasz.

Franciszek (tupiąc nogą ze złości). To tẽż wiẽcẽj juź nie chcę! Nie będę dłużej waszym poścãncem miłosnym.

Adelhejda. Ty się zapominasz, Franciszku!

Franciszek. Żebym siebie poświęcał! I mojego drogiego pana!

Adelhejda. Idź mi precz z oczu!

Franciszek. Miłościwa pani!

Adelhejda. Idź, wyjaw mój sekret twojemu drogiemu panu! Byłam niedorzeczna, zem cię miała za takiego, jakim nie jesteś.

Franciszek. Droga, miłościwa pani! — Wszak wiẽcie, ile was kocham.

Adelhejda. Ty, co byłeś mym przyjacielem! tak blizki mojemu sercu! Idź-że teraz i zdradź mnie!

Franciszek. Wolałbym chyba własnymi rękami pierś sobie rozszarpać! O pani, nie gniewajcie się na mnie! Serce moje tak przepełnione! Moje zmysły tego nie wytrzymają.

Adelhejda. Kochany, gorący chłopcze! (Bierze go za ręce i przyciąga do siebie; pocałunki ich spotykają się z sobą; on szlochając rzuca się jęj na szyję.)

Adelhejda. Puść mnie!

Franciszek (duszac się od płaczu). Boże! o Boże!

Adelhejda. Puść mnie! Ściany mają oczy i uszy. Puść mnie! (Wrywa się z jego objęciami.) Nie zachwiewaj się w swojej wiernej miłości, a czeka ciebie najpiękniejsza nagroda.

Franciszek. Najpiękniejsza nagroda! Tylko tego niech jeszcze dożyję! Zamordowałbym ojca, gdyby nie chciał mnie do miejsca tego dopuścić.

J A X T H A U S E N.

Götz przy stole: przy nim Elżbieta z robótką: na stole świeca i przybory do pisania.

Götz. Prózniactwo jakoś mi nie smakuje, a ścieśniają mnie z każdym dniem bardziẽj. Gdybym chociaź mógł zasnąć, lub się przekonać, że spoczynek to rzecz przyjemna.

Elżbieta. Dokończ-że swoją historję, którą pisać zacząłeś. Daj przyjacielom swoim oręż do ręki, którymby zawstydzić mogli twych nieprzyjaciół; szlachetnemu potomstwu nastrecz tę radość, żeby mogło cię poznać, jakim byłeś istotnie.

Götz. Ach! Pisanie, to zajęcie próznicze; trudno mi ono przy-

chodzi. Opisując to, co przedtém robiłem, gniewam się na siebie za stratę czasu, w którymby mógł coś zrobić nowego.

Elżbieta (bierze rękopism). Nie bądź dziwakiem! Właśnie stanąłeś na pierwszém swojém uwięzieniu w Heilbronn.

Götz. Z dawien dawna to miasto było dla mnie miejscem fatalnym.

Elżbieta (czyta): „Byli tam nawet niektórzy ze sprzymierzonych, którzy mówili do mnie, żem zrobił głupstwo stawając przed moimi najzaciętszemi wrogami, bo mogłem się przecież spodziewać, że mnie łaskawie traktować nie będą. Ja na to odpowiedziałem: — No i cóżś ty odpowiedział? Pisz dalej!

Götz. Powiedziałem: Jeżeli tak często skórę moją narażam w obronie cudzego mienia, dlaczegożbym jęj nie miał narazić dla dotrzymania własnego słowa?

Elżbieta. Każdy ci przyzna, że tak zwykle czynisz.

Götz. I nikt nigdy tego mi nie zaprzeczy! Wszystko mi zabrali, wolność, majątek —

Elżbieta. Było to wtedy, kiedym zastała w obozisku panów von Miltenberg i Singlingena, którzy mnie z osoby nie znali. Ucieszyłam się, jak gdyby nam syn się narodził. Oni rozmawiając pomiędzy sobą wychwalali cię i mówili: — To wzór rycerza; w powodzeniu szlachetny i mężny, w nieszczęściu cierpliwy i wierny.

Götz. Niech mi kogo pokażą, któremubym złamał dane raz słowo! Toć Bogu Najwyższemu wiadomo, żem się więcej pociał chcąc służyć bliżniemu, niżli sobie samemu, — żem na to pracował, by zyskać imię walecznego i wiernego rycerza, nie zaś wielkie dostojenstwa i skarby. Z łaski boskiej téż otrzymałem to, o com się starał.

Lerse; Jerzy ze zwierzyną.

Götz. Szczęść wam Boże, dzielni myśliwi!

Jerzy. Z dzielnych jeźdźców zesłiliśmy na myśliwych. Z butów nietrudno zrobić ciżmy.

Lerse. Zawsze i polowanie coś znaczy; to rodzaj wojny.

Jerzy. Gdyby tylko człęk u nas nie miał zawsze do czynienia z cesarskimi! Czy pamiętacie jeszcze, panie, coście przepowiadali, że jak się świat przewróci do góry nogami, to my wtenczas staniemy się myśliwemi? Jesteśmy niemi teraz, choć się świat nie wywrócił.

Götz. Na jedno to wyszło; zawsześmy z naszego kółka wyparei.

Jerzy. Czasy dziś są niepewne. Już od tygodnia pokazuje się okropny kometa, a całe Niemcy się niepokoją, bo, jak mówią, znaczy to śmierć cesarza, który jest bardzo chory.

Götz. Bardzo chory! Mamy się już ku końcowi.

Lerse. A tu w sąsiedztwie zmiany jeszcze straszniejsze. Chłopi wszczęli okrutny rozruch.

Götz. Gdzie?

Lerse. W samym środku Szwabii. Mordują i palą. Boję się, żeby kraju całego nie spustoszyli.

Jerzy. Okropna to wojna. Zbuntowało się już z jakie sto wiosek, i co dnia ich więcej powstaje. Wicher niedawno wyrwał całe lasy z korzeniem, a wkrótce potem w tych miejscach, gdzie bunt się rozpoczął, widziano na krzyż złożone w powietrzu dwa miecze ogniste.

Götz. Pewno niejednen też z moich łaskawców i dobrych przyjaciół niewinnie na tém ucierpi.

Jerzy. Szkoda, że nam nie wolno wyruszyć!

A K T P I Ą T Y.

WOJNA CHŁOPÓW.

Zgiełk i rabunek we wsi.

Kobiety i Starcy z dziećmi i paktunkami.

Starzec. Precz ztąd! precz! żeby nas te psy nie złapały!

Kobieta. Święty Boże, jak to niebo czerwone, niby krew! Słońce zachodzi czerwono jak krew!

Matka. To znaczy pożar.

Kobieta. Mój mężu! mój mężu!

Starzec. Żywo! żywo! Do lasu! (Przechodzą.)

Link, dowódzca.

Link. Każdego, kto stawia opór, zakłuć na miejscu! Wieś nasza. Żeby tylko ze zboża nic nie przepadło i nic się tu nie zostało! Zrabować ze szczętem i prędko! Zaraz potem podpalić!

Metzler, zbiega ze wzgórza.

Metzler. Cóż u was słyszać?

Link. Jak widzisz, wszystko do góry nogami. Przychodzisz na sam koniec. A ty zkąd?

Metzler. Z Weinsberga. Tośmy się zabawili!

Link. Albo co?

Metzler. Kłuliśmy ich, aż serce skakało z radości.

Link. Kogóż to?

Metzler. Pierwszym w tańcu był Dietrich von Weiler. Małpisko! My stoimy w około, cała nasza wściekła gromada, a jemu się ubrdało z wieży kościelnej chcieć się z nami układać o zgodę. Pyf! już go nie było. Dopiero my piorunem na górę, i jak ci durnia nie wyrzucą przez okno — —

Link. O!

Metzler (do chłopów). Dam ja wam tu stać, wy plemię sobacze! A to osły, jeno się kręcą i guzdrzą!

Link. Palcie! Niech się opieką! Daléj! Żwawo, gałgany!

Metzler. Potém wyprowadziłyśmy Helfensteina, Eltershofa, ze trzynastu szlachty, wszystkich razem do ośmiudziesiąt. Wyprowadziłyśmy na równinę, przy trakcie do Heilbronn. To mi dopiero wrzeszczeli i radowali się nasi, kiedy się zaczął wlec cały ten szereg gawronów, gapiących się jedni na drugich, albo jedni w niebo, a drudzy na ziemię! Nim się spostrzegli, byli już otoczeni i co do nogi wyklęci dzidami.

Link. Ach, że mnie tam nie było!

Metzler. Póki żyję, takem się nie uhawił.

Link. Daléj! Wynosić!

Chłop. Same już tylko pustki.

Link. Więc palcie na wszystkie strony!

Metzler. Pożarek będzie nielada. Ot, powiem ci, kiedy te kpy jeden przez drugiego padali i piszczeli jak żaby, tak mi się ciepło zrobiło na sercu, jak gdybym wypił spory kubek najteższej gorzałki. Był tam między niemi także pan Rixinger! Dawniéj bywało, kiedy jedzie na polowanie, z piórem na czapce i wydętymi nozdrzami, pędził nas przed sobą jak psów, i razem ze psami! Od téj pory jużem ja go nie widział, ale mordą jego zaraz wpadła mi w oko. Więc, fyr! jak nie wpakuję mu dzidę pomiędzy zebra, — wyciągnął, mówię ci, wszystkie cztery łapy na swoich kumpanów. Huncwoty leżeli na kupie i trzęśli się, jak zające podczas obławy.

Link. Już nieźle się dymi.

Metzler. Tam z tyłu się pali. Teraz pomału pójdźmy z łupem do głównej gromady.

Link. A gdzież ona?

Metzler. Na drodze do Heilbronn. Mają oni kłopot o wodza, dla którego by wszyscy byli z uszanowaniem; boć my tylko im równi, a oni to czują, i sprawa z niemi coraz trudniejsza.

Link. Kogóżby chcieli?

Metzler. Maxa Stumpf, albo Götza von Berlichingen.

Link. To byłoby dobrze. Gdyby Götz przystał, jakoś wszystko wyglądałoby lepiej; zawsze o nim ludzie mówili, że to rycerz uczciwy i prawy. Dalej! dalej! Ruszamy w drogę do Heilbronn! Wołajcie, niech się szykują!

Metzler. Ogień przyświecać nam będzie dobry jeszcze kawałek drogi. Czy widziałeś kometa?

Link. Ach! widziałem! To okrutnie straszna jest wróżba! Jak teraz będziem szli nocą, to zobaczymy ją doskonale. Wschodzi około pierwszój.

Metzler. A zostaje tylko godzinę i kwadrans. Wygląda zupełnie jak zgięte ramię, które miecz trzyma w ręku; a kolor ma żółto-czerwony jak krew.

Link. A te trzy gwiazdy na końcu i po obu stronach miecza czyś widział?

Metzler. I szeroki pas takuteńkiego koloru jak chmura, z tysiącami pręgów, jakby dzidami, a między niemi niby małeńkie mieczyki.

Link. Po mnie aż przeszło mrówie. Jakie to wszystko blade-czerwone, w niezliczone ogniste i jasne płomyki, a między niemi okropne, kosmate twarze z brodami!

Metzler. Czy i te także widziałeś? A wszystko to błyszczy się jedno przez drugie, jak gdyby leżało w morzu krwi, i porusza się jedno przez drugie, że aż człek traci zmysły!

Link. Dalej! W drogę! (Odchodzą.)

P O L E.

Widać z daleka dwie palące się wsie i klasztor.

Kohl; Wild; Max Stumpf; Gromada.

Max Stumpf. Jakżeż możecie żądać, żebym był waszym dowódcą? Ani mnie, ani wam, na nicby się to nie przydało. Jam sługa palatyna; mogęż was prowadzić przeciw mojemu panu? Zawszebyście myśleli, że to robię nieszczerze.

Kohl. Wiedzieliśmy dobrze, że ci wymówki nie zbraknie.

Götz; Lerse; Jerzy wchodzą.

Götz. Czego chcecie odemnie?

Kohl. Macie być naszym wodzem.

Götz. Ja mam przełamać słowo rycerskie dane cesarzowi, i opuścić miejsce mojej banicy?

Kohl. To żadna wymówka.

Götz. A choćbym zupełnie był wolnym, jeżeli wy tak będziecie

dalej robili, jak pod Weinsbergiem z panami i szlachtą, i jeżeli tak samo jak teraz, kraj w około będzie się palił i krwawił, — to ja miałbym być wam pomocnym do waszego haniebnego szaleństwa? — Prędjéj mnie jak psa wściekłego zabijcie, niż żebym zostać miał waszym heroldem.

Kohl. Gdyby już nie było za późno, to możeby się i nigdy nie stało.

Stumpf. W tém właśnie bięda, że wodza nie mieli, którego by szanowali i któryby mógł ich szaleństwa powstrzymać. Proszę cię, Götzu, przyjm nad nimi dowództwo. Książęta, całe Niemcy podziękują ci za to. Wyjdzie to wszystkim na dobre; oszczędzi się i ludzi i ziemi.

Götz. A ty czemu nie chcesz?

Stumpf. Jużem z niemi się rozstał.

Kohl. My tu na długie gadaniny czasu nie mamy. Krótko i węzłowato, Götzu, albo bądź naszym wodzem, albo strzeż swojego zamku i swojej skóry. Dwie godziny dajemy ci do namysłu. Pilnujcie go!

Götz. Na co to? Wszystko mi jedno, teraz czy potem! Pociąg wyruszyli? Czy po to, żeby odzyskać wasze swobody i prawa? Czegoż więc szalejecie? Czego kraj pustoszyć? Jeżeli wyrzekiecie się wszystkich tych zbrodni, jeżeli postępować będziecie jak ludzie uczciwi, którzy wiedzą czego chcą, to ja gotów wam dopomóc do spełnienia waszych żądań, i na tydzień obejmę nad wami dowództwo.

Wild. Co się stało, to stało się w pierwszym zapale. Nie potrzeba ciebie, żeby się już w przyszłości nie powtórzyło.

Kohl. Przynajmniej na kwartał musisz nam przyrzec.

Stumpf. No! niech będzie cztery tygodnie! Na to i jedna strona przystać może i druga.

Götz. Niech i tak będzie!

Kohl. Podajcie rękę!

Götz. I zobowiążcie się, że roześlecie do wszystkich gromad na piśmie ten układ, jakiście zemną zawarli, aby go wszędzie pod karą pilnowano jak najsurowiej.

Wild. No dobrze! To się zrobi.

Götz. A zatem na cztery tygodnie.

Stumpf. Szczęść Boże! Cokolwiek się stanie, oszczędzajcie naszego miłościwego pana Falegrafa.

Kohl (po cichu). Strzeżcie go! Żeby z nim nikt nie rozmawiał, jeże i was przy tém nie będzie!

Götz. Wracaj do mojej żony, Lerse! Bądź jéj pomocnym! Wkrótce dam o sobie wiadomość. (Götz, Stumpf, Jerzy, Lerse i kilku chłopów odchodzą.)

Metzler ; Link, wchodzą.

Metzler. Gadają coś o układzie! Do czego ten układ?

Link. To podłość, takie robić układy.

Kohl. Sami wiemy co robimy, tak dobrze jak wy, a robimy to, co nam się podoba.

Wild. Palenie i mordowanie raz przecie, czy dziś, czy jutro, musiało się skończyć! A tak jeszcześmy sobie zyskali dzielnego dowódcę.

Metzler. Co tam, skończyć! A, ty zdrajco! Pocóż my tutaj? Żeby się zemścić na naszych nieprzyjaciółach i żeby się samemu czegoś dochrapać! To chyba poradził wam jakiś fagas książęcy.

Kohl. Chodźmy, Wild! To nie człowiek, to bydlę.

Metzler. Idźcie wy, jeno idźcie! Nie będziecie wy mieli żadnej gromady! Huncwoty! Słuchaj, Linku! Trzeba będzie tamtych podburzyć, podpalić Miltenberg, a jeżeli o układ przyjdzie do sprzeczki, to i jednym i drugim łbów przykróćimy.

Link. Większość i tak jest za nami.

GÓRA I DOLINA.

Młyn w głębi.

Gromada jeźdźców; Weislingen wychodzi ze młyna z Franciszkiem i z posłańcem.

Weislingen. Konia! — Czy zapowiedzieliście tamtym?

Posłaniec. Co najmniej siedm chorągwi stanie wraz z wami w lesie za Miltenbergiem. Chłopi obchodzą dołem. Wszędzie rozesłani posłańcy, a wkrótce zbierze się cała liga. Musi się udać! Słysząc, że się swarzą pomiędzy sobą.

Weislingen. Tém lepiej! — Franciszku!

Franciszek. Słucham.

Weislingen. Spełnij-że należycie! Wkładam ci to na twoją odpowiedzialność. Oddasz jęj list. Niechaj dwór natychmiast opuści i wybierze się do mojego zamku. Słyszysz? natychmiast! Sam będziesz przy jęj wyjeździe i mnie zaraz o tém doniesiesz.

Franciszek. Stanie się, jak każecie.

Weislingen. Powieśz jęj, że chcieć *musi*! (Do posłańca.) Teraz poprowadźcie nas drogą najkrótszą i najwygodniejszą!

Posłaniec. Trzeba objechać. Wszystkie wody od ogromnych deszczów wylały.

J A X T H A U S E N.

Elżbieta; Lerse.

Lerse. Uspokójcie się, szlachetna pani!

Elżbieta. Ach, mój Lerse! Żegnając się, łzy miał w oczach! To okropne! ach, okropne!

Lerse. On wróci.

Elżbieta. Nie o tém ja mówię. Dotąd, gdy gdzie wyruszył po zaszczytne zwycięstwo, mnie nie bywało ciężko na sercu. Cieszyłam się nadzieją jego powrotu, którego teraz, niestety! się boję.

Lerse. Mąż tak szlachetny —

Elżbieta. O, nie nazywaj go tak! Żal mój tém się zwiększa! Ci niegodziwcy! Zagrozili mu, że go zamordują i zamek jego podpalą. — Jeżeli wróci — widzę już w duszy, jak będzie ponury i smutny! Jego nieprzyjaciele kuć będą na niego skargi kłamliwe, a on nie potrafi nawet im odpowiedzieć: Nieprawda!

Lerse. I potrafi, i powie.

Elżbieta. Złamał słowo rycerskie. Czy może powiesz: nie złamał?

Lerse. Nie złamał! Zmusili go; jakże go za to można potępiać?

Elżbieta. Złość ludzka nie pyta; jęć dosyć, że widzi wypadek. Przysłał do buntowników, zbrodniarzy, morderców; stanął na ich czele. I to czy nieprawda?

Lerse. Nie dręczcie już mnie i siebie! Alboż nie przyrzekli najuroczyściej, że się już nie podobnego, jak pod Weinsbergiem, nie stanie? Wszak słyszałem na własne uszy, jak mówili na wpół ze skruczą: Gdyby się to już nie stało, możeby i nie stało się nigdy. Alboż owszem książęta i panowie nie powinni by jemu być wdzięczni, gdyby z własnej nawet woli był został dowódcą tłuszczy tak rozhukanej, żeby powściągnąć ich szaleństwa i oszczędzać ludzi i ziemi?

Elżbieta. Bronisz go sercem. — Jeżeli się dostanie w ich ręce! Jeżeli uważać go będą za buntownika, a siwa głowa jego — — Ach, Lerse! Czuję, że tracę zmysły.

Lerse (na stronie). Ześlij sen na jej powieki, Ojczy Niebieski, jeżeli duszy jej nie chcesz udzielić pociechy!

Elżbieta. Jerzy obiecał, że przywiezie wiadomość. Pewno i on tak nie może, jakby rad zrobił. Oni gorzej są niż więźniami. Wiem ja dobrze, że ich strzegą, jak nieprzyjaciół. Pocziwy Jerzy! Nie chciał on swego pana odstąpić.

Lerse. I mnie, kiedy mi kazał odjeżdżać, krwawiło się serce, — a gdyby wam pomoc moja nie była potrzebną, wszelkie niebezpieczeństwa hańby i śmierci nie byłyby mnie z nim rozłączyły.

Elżbieta. Nie wiem, gdzie Sickingen. Jakżebym chciała wysłać posłańca do Maryi!

Lerse. Już ja się o to postaram. Tylko niech list będzie gotów!
(Odchodzi.)

Przed wsią.

Götz; Jerzy.

Götz. Na konń, Jerzy! Co żywo! Widzę, że się Miltenberg pali. Czy to oni tak dotrzymują układu? Jedź do nich, i powiedz im co ja myślę. Bezecni podpalacze! Nie już z nimi wspólnego mieć nie chcę. Niech sobie cygana biorą na dowódcę, nie mnie! Prędzój, Jerzy! (Jerzy odchodzi.) Chciałbym być ztąd o jakie mil tysiąc, w najgłębszej bisurmańskiej ciemnicy! Gdyby to się z honorem można od nich wydostać! Kontruje im ciągle, najprzykrzejsze prawdy gadam im w oczy, żeby im się sprzykrzyło i żeby już raz mię puścili.

Nieznajomy wchodzi.

Nieznajomy. Bóg z wami, szlachetny panie.

Götz. Czego chcecie? Jak wasze nazwisko?

Nieznajomy. Ono tu niepotrzebne. Przyszedłem was ostrzedz, że głowa wasza jest w niebezpieczeństwie. Hersztom sprzykrzyło się, że przemawiacie wciąż do nich tak ostreimi słowami, i postanowili uprzątnąć was z drogi. Bądźcie umiarkowańsi, albo starajcie się zekmnąć, i niech Bóg was prowadzi. (Odchodzi.)

Götz. W taki sposób życie utracić! Tak skończyć! Ale niech i tak będzie! Śmierć moja będzie wówczas najlepszym dowodem dla świata, żem z temi psami nie miał wspólnego.

Kilku chłopów wchodzi.

Pierwszy chłop. Panie! Oni pobici! Oni w niewoli!

Götz. Kto?

Drugi chłop. Ci, co spalili Miltenberg. Z za góry wystąpił oddział związkowych i napadł na nich znienacka.

Götz. Czekają ich słuszna nagroda! — Ach, Jerzy! mój Jerzy! — Wzięli go razem ze zbrodniarzami! — Jerzy! Ach, Jerzy! —

Hersztowie wchodzą.

Link. Daléj, panie dowódczo! Nie ma co zwlekać. Nieprzyjaciel blizki i w sile.

Götz. Kto spalił Miltenberg?

Metzler. Jeżeli wam się zachciewa robić tu ceregiele, to was nauczą, jak ich nie robić.

Kohl. Bronście waszję skóry i naszą. Nuże! dalej!

Götz (do Metzlera). Ty grozisz mi, nikezemniku! Czy myślisz, żeś dlatego dla mnie straszniejszy, bo odzież twoja zbryzgana krwią hrabiego von Helfenstein?

Metzler. Ej, Berlichingen!

Götz. Nazwisko moje można wymówić, a nie powstydzą się go moje dzieci.

Metzler. A! ty tchórzku jakiś! Fagacie książęcy!

(Götz uderza go w twarz; Metzler pada; inni stają pomiędzy niemi.)

Kohl. Zwaryowaliście? Nieprzyjaciół zewsząd się wdziera, a wy się kłóciecie!

Link. Dalej! żywo! (Zgiełk i bitwa.)

Weislingen; Jeźdźcy wpadają.

Weislingen. Za niemi! Za niemi! Uciekają. Niech wam noc i deszcz nie przeszkadza! Podobno Götz między niemi. Starajcie się, żeby go ująć! Nasi mówią, że ciężko jest ranny. (Jeźdźcy odchodzą.) Ach, gdybym już cię miał w ręku! Jeszcze to będzie łaska, jeżeli się wyrok śmierci potajemnie wykona w więzieniu. Takim sposobem zginię w pamięci ludzkiej, a mnie lżej będzie oddychać. (Odchodzi.)

N o c w d z i k i m l e s i e .

Obóz cygański.

Stara cyganka; jej córka.

Matka (przy ogniu). Hej, córko! Połataj tam strzechę nad rowem! Siła jeszcze deszczu będzie tej nocy.

Chłopiec wchodzi.

Chłopiec. Patrz, matko! Jeden susał i dwie myszy polne!

Matka. Ja ci je ściągnę ze skóry i upiekę na rożnie; z futerek dostaniesz czapeczkę. — A krew zkąd się wzięła?

Chłopiec. To mysz mnie ugryzła.

Matka. Przynieś-no suchych gałązek, żeby się ogień dobrze rozpalił, jak ojciec nadejdzie; pewno będzie przemokły do nitki.

Druga Cyganka, wchodzi z dzieckiem na plecach.

Pierwsza Cyganka. Cóż? Dużo naźebrałaś?

Druga Cyganka. Oj, nie dużo! W około niepokój, że człek życia niepewny. Dwie wsie palą się jasnym płomieniem.

Pierwsza Cyganka. Więc to łuna, ten blask tam na dole? Dawno już na nią patrzę. Człowiek już przywykł do tych znaków ognistych na niebie.

Starszy Cygan; trzej Cygani wchodzą.

Starszy. Czy słyszycie dzikiego strzelca?

Pierwsza Cyganka. Właśnie co nam przelatuje nad głową.

Starszy. A psy jak szczekają! Huzia go!

Drugi Cygan. O! Jak z bicia trzaskają!

Trzeci Cygan. A myśliwi wesoło krzyczą: Holla! he!

Matka. Toć djabelskie niesiecie pakunki!

Starszy. W mętnej wodzie nałowiliśmy ryb niemało. Sami chłopci rabują — czemużby nam nie miało być wolno?

Druga Cyganka. Co tam masz, Wolfie?

Wolf. Ot! tu mam zająca, a tutaj koguta; rożen; paczkę płótna; trzy warzachwie i lejce.

Szriks. Ja mam derę wełnianą, parę butów, próchno i siarkę.

Matka. Wszystko na nic zamokło; dajcie, to się wysuszy!

Starszy. Któs na koniu! Idźcie! zobaczcie, kto taki?

Götz konno.

Götz. Bogu dzięki! Tu widzę ogień, — Cyganie! Krew z ran mi uchodzi, nieprzyjaciele siedzą na piętach. Święty Boże, straszny gotujesz mi koniec!

Starszy. Czy przybywasz jako przyjaciel?

Götz. Błagam waszój pomocy. Rany odebrały mi siły. Pomóżcie zsiąść z konia!

Starszy. Pomóż! Mąż to szlachetny, z postaci i z mowy.

Wolf (po cichu). To Götz von Berlichingen.

Starszy. Witam was! Wasze wszystko co mamy.

Götz. Dziękuję wam.

Starszy. Chodźcie do mojej szatry!

Sz a t r a S t a r s z e g o .

Starszy; Götz.

Starszy. Wołajcie matki, niech da żywokostu i plastru. (Götz zdejmuje pancerz.)

Starszy. Macie tu moją oponę świętą.

Götz. Bóg zapłać! (Matka wchodzi i opatruje mu rany.)

Starszy. Bardzom rad, że wy u mnie.

Götz. Alboż mnie znacie?

Starszy. Któżby was nie znał? Krew i życie, Götz, za was od-damy.

Szriks wchodzi.

Szriks. W lesie są jeźdźcy. Związkowi.

Starszy. To wasi prześladowcy! Nie dopuścim ich do was. Dalój, Szriks! Prędjéj, każ tamtym! My lepiéj od nich znamy tu skrytki; dostaną po kulce, nim nas spostrzegą.

Götz (sam). O, cesarzu! cesarzu! Zbójcy bronią twych dzieci!
(Słychać strzały.) Dzieci ludzie, ale stali i wierni!

Cyganka wchodzi.

Cyganka. Uciekajcie! Nieprzyjaciele górą.

Götz. Gdzie mój koń?

Cyganka. Tu zaraz obok.

Götz (przepasuje się i wsiada bez pancerza). Po raz ostatni niech ramię moje poczują. Jeszczem nie taki słaby. (Odjeżdża.)

Cyganka. Leci do naszych. (Ucieczka.)

Wolf. Precz! Precz! Wszystko stracone. Starszy zabity. Götz w niewoli. (Krzyki niewiast, ucieczka.)

Sypialnia Adelhejdy.

Adelhejda z listem.

Adelhejda. Jedno z nas dwojga! Zuchwalec! Grozi mi! — Trzeba ciebie uprzedzić. Kto tam chodzi po sali? (Ktoś puka.) Kto tam?

Franciszek (po cichu). Pani! Otwórzcie!

Adelhejda. To Franciszek! Otworzę. On na to zasłużył. (Wpuszcza go.)

Franciszek (rzuca się jej na szyję). Droga, miłościwa pani!

Adelhejda. Bezwstydniku! A gdyby kto téż usłyszał!

Franciszek. O! Wszyscy śpią, wszyscy!

Adelhejda. Czego chcesz?

Franciszek. Nie mam spokoju. Groźby mojego pana, wasz los, moje serce — —

Adelhejda. Kiedyś odjeżdżał, bardzo się gniewał?

Franciszek. Nigdy go takim nie widział. Niechaj — mówił — jedzie do swego majątku. Ona chcieć musi.

Adelhejda. A my będziemy posłuszni?

Franciszek. Nie nie wiem.

Adelhejda. Łatwowierny chłopce, jakże ciebie łatwo oszukać! Ty nie rozumiesz, do czego to zmierza. Tu on wie, że jestem bezpieczną; bo już od dawna nastaje na moję wolność. Chce, żebym pojechała do jego majątku. Tam będzie miał władzę robienia zemną, eo mu każe nienawiść.

Franciszek. Nie robi!

Adelhejda. Czy ty mu przeszkodzisz?

Franciszek. Nie robi!

Adelhejda. Przewiduję całą mą przyszłość. Gwałtem zabierze mnie z zamku, zamknie w klasztorze — —

Franciszek. Do stu piekieł!

Adelhejda. Czy ty mnie ocalisz?

Franciszek. Wszystkom gotów! Tak, wszystko!

Adelhejda (ściska go płacząc). Ach, Franciszku! Oboje nas ocal!

Franciszek. Niech ginie! Kark mu zegnę do ziemi!

Adelhejda. Tylko bez uniesienia! Dam ci list do niego, pełen pokory, że mu będę posłuszną. A z tej fiaszki wlejesz mu to do napoju.

Franciszek. Dajcie! Będziecie wolną!

Adelhejda. Wolną! Kiedy ty już nie będziesz potrzebował zakradać się do mnie ze drżeniem — kiedy ja ci z bojaźnią nie powiem: — Odejdź, Franciszku! już świta poranek! — —

Heilbronn, przed wieżą.

Elżbieta; Lerse.

Lerse. Niech was Niebo, miłościwa pani, wybawi od tego nieszczęścia! Marya jest tutaj.

Elżbieta. Bogu Najwyższemu dzięki i za to! Ach, Lerse, popadliśmy w okropne nieszczęście. Wszystko tak, jak mi mówiło przecucie! Uwięziony jako buntownik; jak zbrodniarz do najgłębszego lochu rzucony — —

Lerse. Wiem wszystko.

Elżbieta. Nic nie wiesz, nie jeszcze; nieszczęście nasze zbyt straszne! W takim wieku, z takimi ranami, gorączka trawiąca, a co gorsze niż wszystko, to czarne w jego duszy przecucie, jaki czeka go koniec.

Lerse. I to wiem; wiem także, że Weislingen jest delegatem.

Elżbieta. Kto? Weislingen?

Lerse. Egzekucye odbywają się niesłychane. Metzlera żywcem spalili, setkami ich powplatali na koła, pozatykali na pale; ćwiertują, ścinają. Cały kraj w około jedną jest rzeźnią, gdzie ludzkie mięso tanio kosztuje.

Elżbieta. Weislingen delegatem! O Boże! Promyk nadziei! Marya pójdzie do niego, — on jej w niczem odmówić nie może. Serce u niego zawsze bywało miękkie, a gdy ją zobaczy, ją, którą tak kochał, która przez niego jest tak nieszczęśliwą — Gdzie ona?

Lerse. Jeszcze w oberży.

Elżbieta. Prowadź mię do niej! Zaraz niech jedzie! Wszystkiego już dziś się obawiam.

Zamek Weislingena.

Weislingen sam.

Weislingen. Tak jestem osłabiony, tak chory! Kości moje jakby spróchniały. Mizerna gorączka resztę w nich szpiku spaliła. Zadnego spoczynku, ni we dnie, ni w nocy. W półsenném drżemaniu jakieś jadowite marzenia. Zeszłej nocy miałem sen, że w lesie spotkał się z Götzem. Dobył miecza i wyzwał mię. Jam też za swój chwycił, ale mi ręka nie była posłuszną. Więc on go znów wepchnął do pochwy, spojrzał na mnie wzgardliwie i odszedł. — On w więzieniu, a ja drzę jeszcze przed nim. Jakiż zemnie jest nędznik! Moje słowo skazało go na śmierć, a ja się przed marą trzęsę jak zbrodniarz! — I czy w samą rzecz ma umrzeć? — O Götzu! Götzu! — My ludzie sami sobą nie kierujemy; złym duchom zostawiona nad nami władza, żeby piekielną swoją swawolą w naszej zgubie się popisywały. (Siada.) — Osłabiony! Znużony! Jakże zsiniały paznokcie! — Pot zimny, trawiący, wszystkie ubezwładnia mi członki! Wszystko się w oczach kołuje. — Gdybym mógł zasnąć na chwilę! Ach —

Marya wchodzi.

Weislingen. Jezu Maryo! — Zostaw mię w spokojności! Zostaw w spokoju! Już tylko *jej* brakło! Ona umiera, Marya umiera, i ukazuje mi się teraz w chwili konania. — Opuść mię, duchu błogosławiony! Jam i tak dość nieszczęśliwy.

Marya. Ja nie jestem duchem, Weislingu. Jam Marya.

Weislingen. To jej głos!

Marya. Przychodzę błagać cię o życie mojego brata. On niewinny, jakkolwiek może wydać się winnym.

Weislingen. Cicho, Maryo! Tyś anioł niebiański, a przynosisz mi męczarnie piekielne. O! przestań!

Marya. Więc mój brat ma umierać? Rzecz straszna, że potrzebuję ci to mówić, Weislingu: on jest niewinny! że biadać muszę przed tobą, by cię powstrzymać od najbezpieczniejszego morderstwa. Nieczyste potęgi opanowały na wskrós twoją duszę. Czy na prawdę to Adalbert?

Weislingen. Na mnie, jak widzisz, powiał trawiący dech śmierci; siła moja schyla się ku grobowi. Umarłbym jak nędzarz, a ty przychodzisz wpędzać mnie w rozpacz. Gdybym mógł mówić, najwyższa twoja nienawiść przemieniłaby się w żal i litość nademną. Maryo! O, Maryo!

Marya. Brat mój, Weislingu, trawi dnie choroby w więzieniu. Ciężkie jego rany, jego lata podeszły!... I gdybyś był zdolnym siwą jego głowę... Weislingu! Nas ogarnęłaby rozpacz.

Weislingen. Przestań! (Dzwoni.)

Franciszek, w najwyższém wzruszeniu.

Franciszek. Jestem, panie.

Weislingen. Podaj mi tamte papiery! (Franciszek podaje.)

Weislingen (otwiera paczkę i pokazuje Maryi jeden z papierów.) Oto podpisany wyrok śmierci twojego brata.

Marya. Ojcze Niebieski!

Weislingen. I oto rozdieram go! Będzie żył. Ale czyż potrafię stworzyć na nowo, com zburzył? Nie płacz, Franciszku! Poczciwy chłopcze! bierzesz moje nieszczęście do serca. (Franciszek rzuca mu się do nóg i obejmuje jego kolana.)

Marya (na stronie). On bardzo chory. Widok jego rozdiera mi serce. Jakżem go kochała! a teraz, gdy znowu go widzę, czuję w dwójnasób, jak silnóm musiało być to uczucie.

Weislingen. Wstawaj, Franciszku, i nie płacz! Wszak mogę jeszcze wyzdrowieć. Póki jest życie, nie traćmy nadziei.

Franciszek. Dla was jój nie ma. Wy umierać musicie.

Weislingen. Muszę?

Franciszek (jakby bezprzymyślny). Trucizna! Trucizna! Od waszjej żony! — Ja! Ja sam! (Wybiega.)

Weislingen. Pójdź za nim, Maryo! On zrozpaczony. (Marya wychodzi.) Od żony trucizna! Ach, tak! Czuję ją! Śmierć i męczarnie!

Marya (z drugiej komnaty). Ratunku! Ratunku!

Weislingen (chce wstać). O Boże! Siły nie staję!

Marya (wchodzi). Już go nie ma. Z wściekłością skoczył przez okno do Mœnu.

Weislingen. Jemu już dobrze. — Bratu twojemu nie nie zagraża.

Inni delegaci, Seckendorf na ich czele, są mu życzliwi, i chętnie przystaną na areszt pod słowem rycerskiem. Bywaj mi zdrowa, Maryo, i odejdz!

Marya. Zostanę przy tobie, biedny ty opuszczony!

Weislingen. Prawda, że opuszczony i biedny! Straszny z ciebie mściciel, o Boże! — Wszak moja żona...

Marya. Porzuć te myśli! Zwróć serce swoje ku miłosierdziu bożemu!

Weislingen. Idź, święta duszo, i zostaw mnie mojemu nieszczęściu. — To okropne! Nawet twoja, Maryo, obecność, ta ostatnia pociecha, dla mnie jest udręczeniem.

Marya (na stronie). Dodaj mi siły, Boże! Wraz z jego duchem i mój duch upada.

Weislingen. Ach! ach! Trucizna od żony! — Franciszek uwiedziony przez tę niegodziwą! Jak ona czeka, jak wygląda posłańca, który jęj przyniesie wiadomość: Już umarł! A ty, Maryo! Maryo! po coś tu przyszła, żeby wemnie rozbudzić wszystkie drżemiące wspomnienia mych grzechów! Zostaw mię! Zostaw mię, niech umieram!

Marya. Pozwól, niechaj zostanę! Jesteś sam jeden. Wyobraź sobie, żem twą posługaczką. O wszystkiem zapomnij! Bóg niechaj ci tak wszystko zapomni, jak ja zapominam.

Weislingen. O, ty duszo pełna miłości, módl się, ach módl się za mnie! Moje serce szczelnie zamknięte.

Marya. Bóg się umiłuje nad tobą. — Tyś osłabiony.

Weislingen. Umieram, umieram, a umrzeć nie mogę. A w strasznej tej walce między życiem a śmiercią mam już przedsmak męczarni piekielnych.

Marya. Boże miłosierny, umiłuuj się nad nim! Jedno tylko rzuć na niego spojrzenie Twojej miłości, aby serce jego się otworzyło dla pociechy, a duchowi jego by w śmierci towarzyszyła nadzieja, nadzieja żywota!

Ciemne, ciasne podziemie.

Sędziowie tajemnego sądu.

Wszyscy zatuleni.

Starszy. Sędziowie tajemnego sądu, przysięgliście na miecz i postronek, że będziecie bez skazy, że sądzić będziecie w ukryciu, karać w ukryciu na podobieństwo Boga Wszechmogącego! Jeżeli serca wasze i dłonie są czyste, wzniescie ręce do góry i wołajcie nad głowami zbrodniarzy: Biada wam! Biada!

Wszyscy. Biada wam! Biada!

Starszy. Przywoływaczu, wołaj do sądu!

Woźny. Ja przywoływacz na zbrodniarza zwołuję skargę. Czyje serce jest czyste i czyste są dłonie, że zaprzysiądz może na miecz i postronek, ten niechaj skarży na miecz i postronek! Niech skarży! Niech skarży!

Oskarżyciel (występuje). Serce moje wolne od zbrodni, dłonie czyste od krwi niewinnego. Boże odpuść mi grzeszne myśli i nie dopuść ich do wykonania! Wznoszę rękę i skarżę! skarżę! tak, skarżę!

Starszy. Kogo skarżysz?

Oskarżyciel. Skarżę na miecz i postronek Adelhejdę von Weislingen. Dopuściła się cudzołóstwa, męża otrulią przez gacha. Gach sam ukarał się śmiercią; mąż umarł.

Starszy. Czy przysięgasz na Boga prawdy, że prawda, co skarżysz?

Oskarżyciel. Przysięgam.

Starszy. Gdyby się okazało nieprawdą, czy poddajesz kark swój pod karę cudzołóstwa i mordu?

Oskarżyciel. Poddaję.

Starszy. Głosujcie! (Mówią do niego potajemnie.)

Oskarżyciel. Sędziowie tajemnego sądu, jaki wasz wyrok na Adelhejdę von Weislingen, oskarżoną o morderstwo i cudzołóstwo?

Starszy. Niechaj umiera! Niechaj umiera gorzką śmiercią podwójną, — niechaj postronek i sztylet w dwójnasób dwoistą zbrodnię ukarzą. Wnieście ręce do góry i zawołajcie nad głową jej: Biada! Biada! Biada! W ręce mściciela!

Wszyscy. Biada! Biada! Biada!

Starszy. Mścicielu! Wystąp, mścicielu! (Mściciel występuje.)

Starszy. Bierz tu miecz i postronek, by zgładzić ją z przed oblicza Niebios w przeciągu dni ośmiu! Gdziekolwiek ją znajdziesz, starzaj ją w pył! — Sędziowie, którzy sądziecie w ukryciu i karzecie w ukryciu, na podobieństwo Boga Wszechmogącego, strzeżcie serca wasze od zbrodni, a dłonie wasze od krwi niewinnej!

D z i e d z i n i e c w o b e r ż y .

Marya. Konie dosyć wytechnęły. Jedźmy już, Lerse.

Lerse. Dajcież sobie spoczynek do rana. Noc zbyt niepokodna.

Marya. Nie mam chwili spokojnej, dopóki nie zobaczę znów mego

brata. Jedźmy już, jedźmy! Niebo się wypogadza; dzień będzie piękny.

Lerse. Jak wasza wola.

Wieża w Heilbronn.

Götz; Elżbieta.

Elżbieta. Proszę cię, mężu, mów do mnie. Milczenie twoje mnie straszy. Trawisz się w sobie. Chodź! obejrzymy ci rany! O wiele już lepsze. Po tym ponurym upadku mężstwa wcale cię nie poznaję.

Götz. Tyś myślała o Götzu? Jego dawno już nie ma. Pomału całego mnie okaleczyli: — zabrali mi rękę, wolność, majątek i dobre imię. Cóż komu na mój głowie zależy? Co słyszać o Jerzym? Czy Lerse za nim pojechał?

Elżbieta. Tak, mój drogi! Podźwignij się duchem! Wiele rzeczy jeszcze może się zmienić.

Götz. Kogo Bóg raz powali, ten sam siebie nie dźwignie. Ja najlepiej znam ciężar, który mię tłoczy. Do znoszenia nieszczęścia przywykłem. Ale teraz nie tylko jeden już Weisling, nie jedni już tylko chłopci, nie tylko śmierć cesarza i moje rany — ale wszystko to razem. Godzina moja nadeszła. Jam się spodziewał, że ona podobną będzie do mego życia. Ale się stań Jego wola!

Elżbieta. Czybyś czego nie zjadł?

Götz. Nie, żono. Patrz, jak tam słońce świeci na dworze.

Elżbieta. Piękny ranek wiosenny.

Götz. Moja kochana, gdybyś mogła namówić dozorcę, żeby na pół godzinki wpuścił mnie do swojego małego ogródka, abym się nacieszył pocziwem słońcem, pogodnym niebem i czystym powietrzem.

Elżbieta. Zaraz! On nie odmówi.

Ogródek przy wieży.

Marya; Lerse.

Marya. Wejdz i dowiedz się, co tam słyszać. (Lerse odchodzi.)

Elżbieta; Dozorca.

Elżbieta. Niech wam za waszą pocziwość i dobroć Bóg wynagrodzi! (Dozorca odchodzi.) Z czémże przyjeżdżasz, droga Maryo?

Marya. Wyrok na Götza cofnięty. Ach! ale i serce moje rozdarło. Weislingen nie żyje; własna go żona otruła. Mąż mój w niebezpieczeństwie. Książęta nadto potężni; mówią, że obłączony.

Elżbieta. Nie wierz tej wieści! I niech się Götz o niej nie dowie!

Marya. Jakże z nim?

Elżbieta. Obawiałam się, że nie dożyje twojego powrotu. Prawica boża ciężko nad nim zawisła. A Jerzy nie żyje.

Marya. Jerzy! ten złoty chłopiec!

Elżbieta. Kiedy ci nikczemnicy Miltenberg podpalali, Götz go wysłał, żeby przestali natychmiast. Ale w tym wpadł na nich szereg związkowych. — Jerzy! gdyby wszyscy tak się trzymali, jak on! Prawda, wszyscyby chyba musieli mieć takie jak on czyste sumienie. Wielu było zabitych, a między nimi i Jerzy: umarł śmiercią rycerską.

Marya. Czyście powiedzieli Götzowi?

Elżbieta. Przed nim jeszcze taimy. On mnie się z dziesięć razy na dzień wciąż pyta, i dziesięć razy wysłał, żeby mu się dowiedzieć, co z Jerzym się dzieje. Lękam się zadać ostatni ten cios jego sercu.

Marya. O, Boże! Czémże są nadzieje tej ziemi?

Götz; Lerse; Dozorca.

Götz. Wszeczinocny Boże! Jak tu błogo pod Twojém sklepieniem! Jak tu swobodnie! — Drzewa wydają pączki i wszyscy żyją nadzieją. Bywajcie zdrowi, moi drodzy! Pień życia mego podcięty, siły moje mają się ku grobowi.

Elżbieta. Czy posłać Lersego do klasztoru po syna, żebyś go raz jeszcze obaczył i jemu pobłogosławił?

Götz. Daj mu pokój! On świątobliwszy odemnie, błogosławieństwa mego nie potrzebuje. — W dzień ślubu naszego, Elżbieto, nie przewidywałem, że tak mi przyjdzie umierać. — Stary ojciec nam błogosławił, a z modlitwy jego płynąć miało potomstwo synów szlachejnych i męjnych. — Nie wysłuchałś go, Panie; jam już ostatni. — Lerse, twój widok bardziej mnie cieszy w godzinę śmierci, niż podczas najdzielniejszej potyczki. Wówczas mój duch przewodniczył waszemu; teraz ty mi dodajesz odwagi. Ach! gdybym choć raz jeszcze mógł zobaczyć Jerzego; gdybym mógł się ogrzać jego spojrzeniem! — Spuszczacie oczy? płaczecie? — On umarł — Jerzy nie żyje. — Umieraj i ty, Götz! Samego siebie przeżyłś, przeżyłś szlachejnych. — Jakże on umarł? Ach, zabrali go z podpalaczami i stracili na szubienicy?

Elżbieta. O nie! Zginał pod Miltenbergiem. Jak lew rozjuszony bronił swojej wolności.

Götz. Bogu niech będzie chwała! — To najpoczejwsze było chłopię pod słońcem, — a męjne! — Już teraz puść moją duszę! —

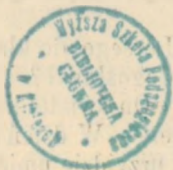
Biędna żono! Zostawiam cię w świecie zepsutym. Nie opuszczaj jęj, Lerse! — Serca wasze zamykajcie staranniej, niż wrota. Nadejdą czasy podstępu; przyszła nań teraz kolej swobody. Chytrze rzędzić będą nikizemni, a szlachetny łapać się będzie w ich sidła. Tobie, Maryo, oby Bóg wrócił męża, i oby tak głęboko nie upadł, jak wzbił się wysoko! Selbitz nie żyje, i dobry cesarz także, i Jerzy! — Dajcie mi wody! — Boskie powietrze! — Wolność! Ach, wolność! (Umięra.)

Elżbięta. Wolność tam tylko u Ciebie, Ojcie Niebieski! Świat jest więzieniem.

Marya. Szlachetny człowieku! Biada stuleciu, które cię odepehnęło!

Lerse. Biada potomstwu, które cię nie zrozumie!

K O N I E C.







PLATON

PISMA PRZEŁOŻONE, OBJAŚNIONE I ILUSTROWANE

przez

DR. WŁADYSŁAWA WITWICKIEGO

Profesora Uniwersytetu Warszawskiego

Tom pierwszy FAJDROS. Tom drugi EUTYFRON, OBRONA SOKRATESA, KRITON. Tom trzeci HIPJASZ MNIEJSZY, HIPJASZ WIĘKSZY, IJON. Tom czwarty GORGJASZ. Tom piąty PROTAGORAS. Tom szósty UCZTA. Tom siódmy FEDON.

Cena każdego tomu zł. 6.—. Komplet zł. 35.—.

„Niemala zasługa tłumacza, że ułatwił dostęp szerszym kołom czytelników do tej skarbnicy myśli ateńskiego filozofa, nie-mniejszym jednak od naszej wdzięczności jest i nasz podziw dla rzetelnej pracy, podjętej nad tłumaczeniem tekstów, i dla tej pracy wyników”.

Muzeum, r. 1922, zesz. II.

KS. DR. SZCZEPAŃSKI WŁADYSŁAW

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego

EGEA i HATTI

NAJSTARSZE CYWILIZACJE
WSCHODU KLASYCZNEGO

TOM III.

Z 5 tablicami i atlasem o 303 rycinach.

Cena zł. 12.—.

„W sposób prawdziwie przystępny, chociaż na ścisłych studiach oparty, daje autor czytelnikowi możliwość poznania tej wy-sokiej a odrębnej cywilizacji, która w zamierzchlej starożytności powstała w basenie morza Egejskiego”.

Gazeta Warszawska, r. 1923, nr. 348.



KSIĄŻNICA

LWÓW, UL. CZARNIECZNEGO 12
 WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 59

POLECA:

BIBLIOTEKĘ PRZEKŁADÓW
DZIEŁ PEDAGOGICZNYCH

Wobec żywo odczuwanej potrzeby fachowej książki pedagogicznej „Książnica-Atlas” postanowiła uzupełniać systematycznie luki rodzimej literatury przez wydawnictwo przekładów dzieł, posiadających uznaną wartość. Dzieła te ukazywać się będą w miarę przygotowania ich przekładów do druku i razem stanowić będą osobną

BIBLIOTEKĘ PRZEKŁADÓW
DZIEŁ PEDAGOGICZNYCH

Dotychczas ukazały się następujące tomy:

- Tom I. *John Dewey*: SZKOŁA A SPOŁECZEŃSTWO. Przekład Marii Lisowskiej 170
 Tom II. *W. Wetekamp*: SAMODZIELNOŚĆ I RADOŚĆ TWÓRCZA W NAUCE I WYCHOWANIU. Przekład J. Mirskiego 2—

Do druku oddano:

- Tom III. *Robert R. Rusk*: PEDAGOGIKA EKSPERYMENTALNA. Przekład Z. Ziemińskiego —
 Tom IV. *G. Kerschēnsteiner*: POJĘCIE SZKOŁY PRACY —

Obok tego przewidywane są i znajdują się w początkowym okresie przygotowania inne dzieła.

W pracy nad wydawnictwem Biblioteki bierze udział szereg specjalistów. Wychodzenie oddzielnych tomów Biblioteki nie jest uzależnione od wyznaczonych okresów czasu.